



ROK 1924.

WARSZAWA, 23 GRUDNIA

T R E Ś Ć N U M E R U :

Wiersze: 1) Kolenda; 2) Gołębica w swem gnieździe—*Christina Rossetti*, (przeł. Z. Rościszewska) Na dziś. Ostatnie Święta—*Tekla Knoll-Wittigowa*. Literatura nad przepaścią—*m.* W imię własnego dobra—*Dr. Z. Garlicka*. Jak walczyć z nerwowością naszych dzieci (c. d.)—*K. S. Żebruś-Zuzanna Rabska*. Aforyzmy—*Z. Zaw.* Odjazd—*Paul Girydy* (tłom. M. D.) Łucja z Pokucic (nowela) dok.—*Marja Dąbrowska*. Drogami duszy (powieść) c. d.—*Helena Ceylingerówna*. Marja Wołkońska i Teresa Confalonieri (dok.)—*K. Bielańska*. Marja Jehanne Wielopolska—*C. Walewska*. Miłość, która nigdy nie umiera—*Stefanja Podgórska-Okołów*. O kinematografie i dwóch polskich o nim książkach—*N. Samotyłowa*. Kobieta w świecie i w domu—*Z. B.* Wychowanie fizyczne i życie sportowe kobiet—*I. Fabrycowa*. Muzyka—*Ryta Gnus*. Z teatrów—*P-a.* Z książek—*Z. Szmydtowa*. Z Ruchu Wydawniczego—*M. Buska*. Z sekretów piękności Paryżanek—*Ypsylonka*. Nakrycie—*W.* O naszym domu—*J. S.* List z Paryża—*Sekwa*. Korespondencje—*R.* Wskazówki praktyczne—*Pani Elżbieta*. Nadesłane do Redakcji. Dodatek powieściowy: „Czar Kwietniowy” tom II, (przekład z angielskiego)—przez autorkę „Elżbiety i Jej Niemieckiego Ogrodu.” Dodatek robót i ubiorów. ARKUSZ WZORÓW I TABLICA KROJÓW.

CHRISTINA ROSSETTI

K O L E N D A

(A CHRISTMAS CAROL)

W zimową, ciemną noc
Srogi wichur łkał,
Zamarzła czarna ziemia,
Lód na rzekach stał;
Śnieg biały spadł, śnieg na śnieg,
Śnieg na śnieg...
W zimową, ciemną noc
Temu wiek...



W niebie na Boga przyszedł czas,
Świat Go nie przygarnie:
Ziemia się odwróci
Gdy nań zstąpi ofiarnie.
W zimową, ciemną noc.
Stajnia uboga
Będzie dachem dla Pana
I Boga!

Wystarczy dziś Królowi
 Ubóstwo zimnych ścian
 I łono biednej Matki,
 Obrął Pan!
 Wystarczy Ci ta nędza,
 O wielki Boże,
 Którego nawet bydle
 Wielbi w pokorze.

Zebrały się tu pono
 Cheruby, Serafiny,
 I w skrzydeł śnieżnej bieli
 Zlecieli Archanieli;
 A jedynie Paniienka
 Kędziorów Syna złoto
 Przywitała radośnie
 Pieszczotą.

Cóże dam Bogu, cóże?
 Nie mam jagnięcia
 Jako biedne pastuszki
 Dla Boskiego Dziecięcia.
 Jak mędrcom ze wschodu
 Złożyłabym Mu dary.
 Dziś prócz serca własnego,
 Nie mam innej ofiary.

CHRISTINA ROSSETTI*)

GOŁĘBICA W SWEM GNIEZDZIE

Gołębica w swem gnieździe, uwitem wśród gór,
 Tuli pisklęta w puchu własnych, białych piór;
 Miesiąca biała tarcza w przezroczystej mgle,
 Prując jasne obłoki, ziemi światło śle...
 Na łodydze cierniowej białe róże lśnią,
 Że pomiędzy kolcami — tem cenniejsze są;
 Strumyk srebrzysty płynie na zieleni mchów —
 Chmurka biała nań spojrzysz i odpływa znów;
 Konwalji białej wonie kryją słodką moc,
 Jak kadzidło wonieją w wielką, świętą noc.
 Białe są dusze nasze — zmyte w boskiej krwi,
 Białym Anioł, co czuwa w nocie i we dni:
 Czysty Baranku Boży, chroń od zmazy nas,
 Któryś z Niebios w zimowy ku nam zstąpił czas.

Przetłoczyła ZOFIA ROŚCISZEWSKA

*) Życiorys mało znanej w Polsce, znakomitej poetki angielskiej, Christiny Rossetti, jako też dalsze jej utwory poetyckie ukażą się w najbliższych numerach „Bluszczu” roku następnego w przekładzie Z. Rościszewskiej.

N A D Z I Ś.

Zmierzch wigilijny!...

Śpią cicho pola pod śniegów liljową bielą, śpią cicho lasy pod szronów srebrną okiścią.

Przyroda Polski śni swój zwykły, bogactwem przyszłych uroków zapładniający sen zimowy... jak zawsze, jak dawniej, jak przed laty... a przecie dziś jest ...inaczej!

W powietrzu mżą teraz jakieś drgania, jakby miliony... miliardy... świeżych uśmiechów dziecięcych.

W srebrnych świeceniach zmierzchu są jakieś tony, jakieś blaski nowe, jakieś przebłyski nieba, których ongi nie było!..

Uśmiech płynie przestworem, uśmiech, którego ongi nie było!..

Polska jest wolna!...

„Czy temu słowu zajrzeliście w duszę?“

Nie! Zaprawdę—nie!

Bo, gdyby tak było — spłynęłyby nam z serc wszystkie jady, wszystkie nienawiści... i żółć rozczarowań... i gorycz niechęci do własnego Państwa, do własnych rządów naszych... i ślina szkalowań... i brudna chciwość zysku... i zwierzęca chęć użycia... spłynęłyby nam z serc... łzami przeolbrzymiej, wszystko przemieniającej radości!..

Jeszcze temu „słowu“ nie zajrzeliśmy w duszę!

Bo, gdyby tak było...

Odkrylibyśmy w sobie siłę, która jednałaby nam wszystkich nieprzejednanych... i dalekich... i obcych...

Bo, gdyby tak było...

Znalazłby się w rękach naszych cud realizacji...

...Każde pragnienie mocne i szlachetne, każdy zamiar prawy i braterski, każda myśl śmiała i każde słowo lotne stawałoby się na ziemi naszej i we współczesności naszej—ciałem i powszednim chlebem naszego żywota!..

Wraz z białym opłatkiem pradziadów niesiemy Wam to jedno, jedyne życzenie...

OSTATNIE ŚWIĘTA

(RODACZKOM Z KRESÓW)

Na parę godzin przed Wigilią dzień się ucisza Błyszczą posadzki, wyschły od wody i mydła stare podłogi i do pokoi, przystrojonych w białe, sztywne firanki, zwolna wchodzi Święto.

Na starem miejscu z szurkotem stanął duży snop z wszelkiego zboża, drobne siano na stole przystrajają cudnym obrusem, a ciemna choina, błyszcząca srebrną gwiazdą z brylantowym ogonem, pachnie w ciepłym salonie. Ktoś ze starszych, chodząc miarowo po ciemnym, dalekim pokoju, odmawia długi pacierz, gdzie tradycja włożyła słowa pełne radości a młodzi wracają rzeźwo z przechadzki po twardym śniegu, gdzie widzieli iskrzące gwiazdy poprzez ciche gałęzie drzew. Włożono jasne suknie, wesole krawaty, służący zapalił wszystkie lampy i biały opłatek, zdjęty z rumianego kołacza poszedł z rąk do rąk przy nierównym szepcie miłości.

Matka zasiadła na swem zwyczajnym miejscu u szczytu białego stołu: była maleńka i miała tak wielkie, szafirowe oczy! Z uśmiechem patrzyła na zebranych. Ktoś mówił, że nie zdoła jeść siedmiu ryb, ktoś z chwilą trwogi policzył obecnych było ich dwanaście.

A tymczasem ustrojone potrawy wkraczały dostojnie w krótkich odstępach czasu i każdy z dwóch półmisków obchodził jednocześnie pół kręgu stołu.

Przed końcem wieczerzy brat wstaje i uśmiecha się do wszystkich jego brązowe oczy są promienne, jak wiosna, o której zapomnieli. Poczem idzie do salonu i przymyka za sobą drzwi. Wtedy wszyscy trochę cichną, poruszają krzesłami, — ktoś się niecierpliwi.

— Ależ, cicho — upominają go — to są Święta. Święta same przychodzą, nie trzeba się śpieszyć.

Wtedy nagle otwierają się drzwi od salonu i brat staje w nich, trzymając w ręku długi drąg, na którego końcu płonie świeca: wygląda teraz jak anioł Bożego Narodzenia, który otworzył drzwi radości. Za nim, jak bogate tło bizantyjskie i więcej jesz-

cze — płonie i skrzy się choina, każdą wyciągniętą gałęzią.

Wtedy, wsparłszy się maleńką ręką o stół, powoli wstaje matka, a inni zrywają się ze swych krzesel w głośnym stukocie i gwarze. Matka staje w progu salonu, otoczona kręgiem swoich i we wszystkich oczach tyle i tyle razy odbija się i pali świąteczna choina: co rok oglądana, co roku nowa — wydaje się zawsze tajemniczym cudem.

Po wieczerzy nigdy nic się nie dzieje i czas wogóle staje: nikt nie wie, która jest godzina i nikt o to nie pyta. Płonące z cichutkim, rzadkim trzaskiem świeczki na gałęzi panują teraz nad całym domem, obmytym duszą i ciałem na Święta.

Wtedy-to nieznana ręka zastukała w szybę ciepło otulonych drzwi od ogrodu.

Pierwsza podeszła młoda siostrzyczka i uchyliła firanki — dotąd widzę jej szczupłe plecy i na nich dwa cudne ciemne warkoczki. Matka wstała z fotela i patrzyła w tę samą stronę, wszyscy przycichli i zwrócili za nią oczy.

Z początku nie widzieli nic, oprócz białego obrąbka śniegu za szybą. Niebawem jednak z wrogiej ciemności, pod ciepłe światło choiny spojrzały oczy zabrękle, łzawe i natarczywe; nad oczami mierzwił się płowy łeb nędzarza, dół twarzy ginął w cieniu okiennej ramy.

Wszyscy milczeli, gdy tymczasem, spojrzenie przybysza, z poza mgły błagania, choiwie weszło do domu, aż dotarło do jego serca i lepiło do ścian.

Siostrzyczka miłosierną ręką przekreśliła krzywy gwóźdź, którym zabito drzwi na zimę, i szarpnęła klamką. Wtedy posłyszeliśmy suchy trzask odrywanego papieru, drzwi ustąpiły z niechętnym skrzypem i żółty piasek, cicho szmerząc, zaczął się sypać na posadzkę.

Wtedy dopiero wszyscy rozwartemi oczami spojrzeli po sobie.

O, Boże! Któż się ośmiela w wieczór wigilijny otwierać drzwi domu na nieznaną sprawę nocy? Serce domu zatrzepotało się i zadrżały białe skrzydła bezpieczeństwa, szeroko rozłożone pod pałapem, ale już było za późno: inna ręka z trzaskiem zerwała mroźne okowy podwójnych drzwi zewnętrznych, powiał chłód, zajrzała otchłań ogrodu i przez wał mchu i piasku wtargnął nieznamy gość. Przycisnął się i stanął nieruchomo.

Wtedy zobaczyliśmy wszyscy zszarzałe łachmany, plugawe ręce, nogi w rozduszonych trepach, na plecach zgrzebny, sztywny, olbrzymi wór. Gdy nieznamy zrobił dwa kroki, w chybliwym świetle świec ujrzeliśmy, śladem jego, czerwone, płaskie plamy. Podmuchał zimny wypełniał pokój, tak, że wszystkie świece odwróciły się płomieniem od otwartych drzwi, a wtedy i obecni rozpierzchli się daremnie popod ściany w swych świątecznych sukniach.

Wtedy obcy cicho i śmiało poszedł przez środek pokoju, wielkim swym worem zaczepiając o choinę. Chwilę zmagala się z nim, ale potem z długim trzaskiem i szemraniem uległa: chyliła się wolno i padła nagle, gasząc razem wszystkie świece.

* * *

Ktoś pozostał, kto widział potem pustynię i zniszczenie, biały dzień, oświetlający wyrwane podłogi, strzaskane szyby, pamiątki garścią rozsypane w błocie z drogi.

Myśmy nie widzieli.

Dla maleńkich dzieci chowamy tajemnicę dalekiego domu rodzinnego który zgasł nagle w całym blasku Święta. Dla nich bijące serce wspomni każdą chwilę wieczoru i na pachnącej gałęzi zawiesi brylantową gwiazdę młodości. Dla nich złotą i srebrną nicią zaprzędzie czarną, głęboką szczelinę dnia dzisiejszego.

A one przywołają dobre duchy domu, błędzące dotąd pomiędzy srebrnymi gwiazdami.

Tekla Knoll-Wittigowa.

LITERATURA NAD PRZEPAŚCIĄ

Książka polska zarówno naukowa, jak artystyczna przechodzi wiadomy wszystkim kryzys.

Przyczyn tego kryzysu szukamy w drożyznie papieru, w złej polityce cłowej, w stanowisku większości wydawców i księgarzy chciwem i skąpem, a często też w ich niedołęstwie.

Nie ulega wątpliwości, że te wszystkie rzeczy popychają literaturę polską z niechwalebnyim pośpiechem ku zastoju. Lecz one także są częścią zjawiska, nie wyczerpują jego treści. Stan dzisiejszego rynku księgarsko-wydawniczego jest wręcz zastraszający.

Najlepsze dzieła najlepszych autorów są bite w kilku tysiącach egzemplarzy.

Przeciętny nakład poety lub powieściopisarza wynosi trzy tysiące egzemplarzy — pięć tysięcy, to jest duży nakład. Książki nabierają charakteru jakiegoś niemal prywatnego druku dla przyjaciół i dla znajomych.

Nie mówię już o tem, że wszystko drukuje się na złym papierze, który po kilkunastu latach się rozleci.

Ba, cóż mówić o książkach artystycznych, gdy popularne broszury wydaje się dziś w tysiącu lub paru tysiącach egzemplarzy, rzecz chyba nigdy nigdzie na świecie nie słyszana.

Równie ciężkie jest położenie autorów. Można na palcach jednej ręki policzyć autorów, którzy w Polsce mogą wyżyć ze swej pracy literackiej, a i toby jeszcze nieco palców zostało.

Śmiało powiedziane — wyżyć! — Powieść, którą się pisze, dajmy na to, rok — żywi swojego autora przez dwa do trzech miesięcy. Dobra nowela, wymagająca miesiąca pracy otrzymuje honorarium, za które autor, zależnie od rozgłosu swego nazwiska, przeżyje cztery do dziesięciu dni. I to da się powiedzieć o autorach już mniej lub więcej wybitnych. Cóż mają mówić nowe, młode siły, artyści zaczynający karierę.

Wszyscy oni muszą nie dorabiać, ale zarabiać na swoje życie, pracując ciężko w biurach, na sposób, do którego nigdy nie potrafią się przyzwyczaić, który wytrawia ich talenty. Rezultat jest ten, że idą żółwim krokiem i mimo świetności talentów czynią ciągle wrażenie początkujących, gdyż dają jedną książkę czy na kilka lat.

Wszystko prawie, co wyszło pięknego w poezji lub beletrystyce ostatnich lat — napisane zostało w godzinach, odkradanych od przymusowej pracy, od pracy ptaków w jarzmie.

Zbiorek wierszy świetnej poetki Włakowiczówny p. t. „Śmierć feniksa“ zawiera klasyczne i nieśmiertelne

świadectwo tego niewdzięcznego stanu rzeczy w prześlicznych i smutnych wierszach o pracy w biurze.

Polska nie jest w stanie utrzymać bez deficytu jednego miesięcznika literackiego! Nie jest w stanie udzielać stypendjów młodym autorom, ani utrzymać żadnego z weteranów literatury. Lepsza prasa ma deficyt — książki leżą, lub sprzedają się w kosztach, podobno niżej ceny kosztu.

Jak widzimy rozmiary klęski są tak wielkie, że trudno się zadowolnić przypisaniem ich wyłącznie stanowisku wydawców, polityce celnej, drożyznie papieru lub kosztom drukarskim.

Ciężkie warunki wydawnicze istnieją — lecz pod tem tai się coś jeszcze, coś szalenie przykrego.

Już z rzeczy mówionych tu na początku widać, że najbardziej przerażający jest poziom, na którym się to wszystko odbywa.

Ależ cały konflikt między autorami i wydawcami, ależ ilość nakładów, wysokość honorarjów — ależ to wszystko razem z całej Polski zebrane, to jest poziom życia małego miasteczka. W tem niema potęgi, siły, rozmachu, pochodzenia naprzód, zwycięstw i porażek, wspólniej emulacji talentów, konkurencji wydawców; niema życia nowoczesnego.

Co jest tą rzeczą, która nadaje rozmach życiu literatury, co stwarza odpowiednie płaszczyzny do walki, do rzucania światu setek tysięcy egzemplarzy drukowanego piękna?

Tą rzeczą, tym kimś, co stwarza podstawę do możliwości istnienia literatury i wywierania swego wpływu na dusze i serca ludzi jest oczywiście czytelnik.

Polsce brak czytelnika literatury pięknej.

Połowa kraju wciąż nie umie czytać i pisać.

A z drugiej połowy umiających, kto czyta rzeczy piękne, a choćby tylko pożyteczne? Kto kupuje u nas książki?

Książka — ten wielki, cichy przyjaciel, ten milczący, a tak potężny przewodnik życia — wzgardzona przez tych nawet, co ją dawniej kochali, zajmuje dziś w budżecie ogółu ostatnie miejsce — co tu mówić, nie zajmuje go wcale. To zupełny przypadek, to niemal cudowny zbieg okoliczności, gdy kto kupi książkę — to święto dla autora, jego krewnych i przyjaciół.

Łatwo jest odepchnąć te gorzkie słowa argumentem, że książka jest za droga — jest luksusem. Przypuśćmy. Lecz pomijając literaturę piękną — znam broszury popularne doskonale

napisane — które, ci co je czytali, ocenili mnóstwem entuzjastycznych superlatywów i które kosztują 20, albo 30 groszy. Też nie są kupowane.

A jeśli książka, dzięki wadliwości gospodarstwa społecznego jest luksusem, to jest to jedyny luksus, którego sobie każdy łatwo, ah! jak łatwo odmawia.

Gdy jakaś firma paryska wprowadzi do ubioru pań modę noszenia tylko jedwabnych, czy jedwabnowełnianych po 20 zł. pończoch — szła woli wszystkich kobiet bogatych, biednych, głupich, mądrych, pięknych, miłych i brzydkich skierowuje się na jedwabne pończochy. Każda musi je mieć — chociażby dwie, chociażby jedną parę. I osiągają cel. A z panów! Kto odmówi sobie codziennej cukierki, drogiej przekąski, składki na wystawny obiad i t. d. Lecz gdy ukaże się powieść, będąca istnem objawieniem, nikt nie uważa za rzecz ambicji chociażby, jeśli już nie potrzeby kupić ją i przeczytać.

Gdybyż, skoro nie idzie inaczej, powstała moda czytania książek! Jakiemi słowami, w jaki sposób przekonać ludzi, że kto kupuje książki — ten podwaja swoje życie, ten buduje sobie powodzenie, funduje sobie radość, doznaje pierwszorzędnej rozkoszy, wykonywa wielki trening, który mu pozwoli iść w pierwszym szeregu na wszystkich wielkich zawodach o mistrzostwo narodów w cywilizacji.

Gdzie są cudowne zaklęcia, jakieś potężne bajki Andersena, które by otwały zamknięte oczy i serca na cuda literatury.

Tego nie wiem.

Lecz wiem, że nie mówiąc już o szerokich masach, naokoło nas w szczyłym gronie inteligencji są ludzie, którzy nic nie czytają, albo tacy, którzy czasami coś przeczytają, lecz wcale książek nie kupują. Poprostu czytają książki pożyczone. Żeby to jeszcze żalowali kupować współczesnych autorów, którzy im się wydają podejrzani, lecz jak częste są inteligentne, zamożne rodziny, które nie mogą się zdobyć na to, żeby dzieciom kupić „Pana Tadeusza“, albo „Trylogię“ — potrzebne im do szkoły.

Naturalnie lepiej jest przeczytać książkę cudzą, niż kupić książkę i nie przeczytać jej. Lecz jak długo istnienie książki będzie się opierało na rozkupieniu jej przez czytelników (bo i pod tym względem może nastąpi jaka rewolucja), tak długo idealnym stanem rzeczy będzie i kupić książkę i przeczytać ją. Naturalnie każdy nie może kupić wszystkiego, lecz niech kupuje cośkolwiek, wtedy

wzajemne pożyczanie sobie będzie przynajmniej uzasadnione.

Organizacja i propaganda czytelnictwa i zamilowania do książek, wydaje mi się rzeczą palącą, gwałtowną, niecierpiącą zwłoki.

Gdy książek zaczęła pożądać masy tak, jak pożądają dachu nad głową i chleba, wtedy zapali się nowym ogniem nasza najmłodsza literatura, która aż pieni się od świetnych talentów. Naprzekór swemu hasłu „Poezjo na ulicę”—owe talenty kręcą się w deptaku zagadnień mogących interesować tylko małe kółko ludzi. Nic to dziwnego. Dla tego koła wybranych oni piszą. Poza niem wyczuwają oni głuchą i niemą pustkę. Pustka ta musi być przerwana. Książka piękna, ten wzgardzony przyjaciel musi znaleźć się znów pomiędzy nami.

Któż to sprawi?

Przedewszystkiem prasa, którą się jednak coś nie coś czyta—powinna więcej miejsca poświęcać ukazującym się książkom i to nie tylko ich krytyce, ale ich propagandzie. Obok krytyk fachowych powinny być dobre i mądre propagandystyczne oceny pisane nie dla fachowców, a dla ogółu.

Jeśli chodzi o masy to wielką

rolę odegrać mogą Kooperatywy Spożyców i Związki Zawodowe, które powinny prowadzić dział sprzedaży i propagandy dobrej literatury pięknej i naukowej.

Na koniec, jeśli chodzi o szerokie sfery inteligencji — do kogóż się zwrócić jak nie do kobiety, którą jak wiadomo posyła się tam, gdzie nikt nie poradzi.

Proszę was, piękne panie, wytłumaczcie komu możecie (a któż wam nie uwierzy) — że książki są w życiu conajmniej tak samo ważne jak crêpe marocain — bilet na wyścigi i lekcja tańca. Że piękna biblioteka choć niewielka zdobi mieszkanie tak samo, jak stylowe meble i batikowe lampy. Że aby być modnym, pięknie ubranym, wytwornym, wysportowanym — grać w Mah-Jong i tańczyć Jawę — że przy tem wszystkim nie koniecznie trzeba nic więcej nie wiedzieć, niekoniecznie trzeba nie czytać. Przeciwnie trzeba jeszcze też czytać i kupować książki. A mówiąc krótko i poważnie, że od stosunku do książek zależy bardzo, to jedyne dobro dla którego w gruncie rzeczy wszyscy żyjemy, a które się nazywa Kulturą ducha.

A gdy wzmoże się i rozszerzy krąg kupujących i czytających książ-

ki—można będzie do sprawy księgarsko-wydawniczej podejść od innej niż dotąd strony—od strony jedynie, jak sądzę właściwej. — Wtedy można będzie zorganizować spożyców książek.

Autorzy już probowali kilkakrotnie uleczyć stosunki panujące w księgarstwie, łącząc się w kooperatywy wytwórców.

Nie udało im się to nie tylko dla tego, że nie są oni żywiołem odpowiednim do takiego rodzaju przedsiębiorst. Nie udało im się też dla tej samej przyczyny, dla której upadały wszystkie kooperatywy wytwórców w zaraniu dziejów kooperacji. Nie miały się na kim oprzeć, nie miały rynku zorganizowanych odbiorców. Nie mogły konkurować z prywatnym przedsiębiorcą.

Lecz gdy książka stanie się pożądaną przez masy, dla czegożby jej chętnie czytelnicy nie mieli sami zakładać księgarń, wydawać pism, umawiać najwybitniejszych autorów—i publikować ich prace? Na tych samych zasadach na których prowadzą sklepy spożywcze? Myśl ta narazie jest może mrzonką. Lecz każdy realny takt życia był najpierw mrzonką—potem zamkiem na lodzie—a potem stawał dopiero na ziemi. m.

W IMIĘ WŁASNEGO DOBRA

(dalszy ciąg dyskusji nad pracą zawodową kobiet)

Z jaką radością czytałam artykuł w № 46 „Bluszczu” pod tytułem: Stosunek państwa i społeczeństwa do pracy zawodowej kobiet. Poruszono tam zagadnienia pierwszorzędnej wagi, których naprawdę „nie wolno dłużej odsuwać, jak zmore z dnia na dzień z godziny na godzinę”. Od dobrego ich rozwiązania zależy w dużej mierze przyszłość współczesnej kobiety. Ale też same kobiety muszą je rozwiązać, same dokonać tej wielkiej pracy społecznej, która przedewszystkiem jest dla nich niezbędną, a więc na nie czeka. W imię własnego dobra, własnych praw nie pisanych, lecz faktycznych — do normalnego, ludzkiego życia winny podjąć szeroką inicjatywę, a inne siły zapewne przyjdą im z pomocą, gdyż ich sprawa jest również sprawą wielkiej doniosłości społecznej.

Nie ulega wątpliwości, że stosunek państwa i społeczeństwa do pracującej matki nacechowany jest krótkowzrocznością, a nieraz okrucieństwem.

Matka, która się podejmuje pracy zarobkowej, nie robi tego dla swojej przyjemności, lecz dla dostarczenia rodzinie środków utrzymania. Że praca męża na to nie wystarcza—nie

jej w tem wina. Kobiety ze sfer możnych, które się oddawały astronomji, literaturze, sztuce jedynie dla zaspokojenia potrzeb swojego ducha, które ze swego salonu kierowały nieraz intrygą polityczną, literaturą i sztuką — takie kobiety do pomocy społecznej się nie odwoływały i nie odwołują. Potrzebują jej matki, pracujące z poczuciem obowiązku, z konieczności poświęcenia siebie dla dobra rodziny.

Praca taka oddawna istniała i była chętnie przyjmowana zarówno przez rodzinę, jak i przez społeczeństwo. Taką była praca gospodyni wiejskiej i praca robotnicy fabrycznej. Kolizje, jakie wynikały między nią a obowiązkami macierzyństwa, łątano, w sposób zresztą bardzo niedostateczny — na wsi indywidualnie i po sąsiedzku, w przemyśle gdy ilość pracujących tam kobiet rosła, a wśród nich wzrastał odsetek matek,—przez ogólne prawa państwowe i społeczne. Rozumiano, że matka i dziecko są dobrem społecznym, którego nie wolno lekkomyślnie trwonić, i stopniowo doszliśmy do prawa, które usuwa od pracownicy szkodliwość najbardziej rażące, zabójcze dla zdrowia lub życia matki i jej dziecka.

Inicjatywa tych ulepszeń nieraz wychodziła od kobiety, — lekarki lub instruktorki fabrycznej, — jednak nie od pracownic fabrycznych, chociaż o nie przedewszystkiem chodziło. Cóż w tem dziwnego? Czyż, uginając się pod ciężarem podwójnej pracy, miały czas i energję do zastanowienia się nad sytuacją?

Przyszła wojna światowa i odrazu, gwałtownym rzutem pchnęła do pracy nowe zastępy kobiet. Czyż nie było to musem społecznym, że kobiety stanęły do pracy, którą mężczyźni powołani do wojska musieli porzucić? Potrafiły tę pracę dobrze wykonać, i po wojnie, kiedy bieda na dobre się rozgościła wśród inteligencji, już się nie bały podjąć pracy zarobkowej narówni z mężczyznami, aby wspólnymi siłami zapewnić byt rodzinie. I znowuż, czy matki, które szły do pracy, porzucając na pół dnia dom i rodzinę, które wracając zmęczone w pospiesznym tempie załatwiały to, co w warunkach normalnych dzień cały wypełnia, robiły to dla swej przyjemności, czy też z ofiarności bezgranicznej i miłosnej? Czyż nie był to znowu mus społeczny? Czy jeśli przymierający głodem urzędnik polski mógł przetrwać czasy

dewaluacji i dotychczas trwa na stanowisku, nie zawdzięczamy tego w znacznej mierze zarobkom jego żony. Gdyby nie te zarobki, które chroniły tyle rodzin przed ostateczną nędzą, możeby większość uczciwych pracowników wyrzekła się swej pracy produkcyjnej, a rzuciła w odmęty spekulacji giełdowej. Przykład łatwych zarobków był zbyt demoralizujący. Jeśli się często słyszy, że oszczędność państwa i sanacja skarbu robią się kosztem pracującej inteligencji, należałoby dodać czasem, że robią się też kosztem sił kobiecych.

Za to wszystko naprawdę należy się kobiecie wdzięczność nie tylko własnej rodziny, ale także społeczeństwa i państwa.

Lecz czyż ta wdzięczność może się objawiać w ofiarności poszczególnych pracodawców względem swoich poszczególnych pracownic, jak, zdaje się, chciałaby tego autorka artykułu. Taka ofiarności byłaby niewątpliwie czynem godnym uznania. Ale musimy patrzeć na rzeczy trzeźwo: miałyby ona charakter filantropii dość kosztownej i na to ani liczyć, ani tem bardziej coś trwałego na tem budować nie możemy. Aby się utrzymać na powierzchni, kobiety muszą dać pracę nie mniej dobrą i nie bardziej kosztowną, niż praca męzczyzny.

Obowiązkiem mądrego państwa i społeczeństwa jest zaopiekowanie się matką i dzieckiem, jako dobrem społecznym. Lecz w interesie kobiet pracujących leży, mojem zdaniem, aby ciężar tej opieki nie spadł na pracodawcę, bo inaczej pracodawca albo będzie unikał angażowania kobiet, albo obniży ich zarobki tak znacznie, żeby mu się kosztła opieki więcej, niż wróciły. Opiekę tę muszą kobiety same sobie stworzyć, jeśli chcą, aby była taką, jaka im jest potrzebna, a obowiązkiem państwa i społeczeństwa będzie wtedy okazać im pomoc jak najbardziej życzliwą.

Kobiety jednak dziwnie są pod tym względem bierne. Przyczyną tego jest może nadmiar pracy i zmęczenia tak samo, jak to ma miejsce u robotnic fabrycznych. Lecz trzeba nareszcie zrobić wysiłek, już chyba możemy się nań zdobyć. Tak dużo jest wśród nas jednostek inteligentnych, których nieodzowną potrzebą duchową jest krytyczny stosunek do otaczających zjawisk, tak dużo osób o tyle dobrze usytuowanych, iż mogą sobie pozwolić na luksus wypoczynku i myśli spokojnej a swobodnej. Trzeba się na ten wysiłek zdobyć, bo inaczej życie zepchnie nas na stopień pracownicy conajwyżej drugiego rzędu.

Obowiązki matki wymagają przerwy w pracy zawodowej. Nawiasem mówiąc nieraz znacznie większych niż te, które ustawa ochrony pracy kobiet gwarantuje. W fabryce nie obniża to wartości pracy, niema żadnych trudności w zastąpieniu robotnicy.

W zawodach inteligentnych praca jest indywidualną, nie tak łatwo jest zastąpić nauczycielkę, lekarkę, kasjerkę, korespondentkę. To też kobiety powinny dostarczyć zastępstwo same i na własną odpowiedzialność. Nie nastęrczy to chyba wielkich trudności, tyle jest teraz kobiet pozbawionych pracy. Wartość zawodową koleżanek po fachu zawsze da się ustalić. Gdyby w każdym fachu utworzył się związek kobiecej samopomocy, przypuszczam, że kwestję zastępstw dałoby się dobrze rozwiązać.

Kto wie, czy nie dałoby się wtedy zaprowadzić jeszcze jednej rzeczy—systemu pół-pracy. Jest w życiu kobiety cały okres — okres wychowywania drobnych dzieci, kiedy codzienna ośmiogodzinna nieobecność w domu staje się nad wyraz uciążliwą. Kiedy fachowe zrzeszenia kobiece będą zorganizowane, da się może stworzyć system, przy którym taką pracę będą wykonywały kolejno dwie pracownice. Zyskałby na tem nie tylko dom i dzieci, ale i sama praca; pracownica byłaby spokojną i nieprzemęczoną, więc mogłaby pracować intensywniej, z drugiej strony—nie wychodziłaby z wprawy wskutek przerywania pracy na dłuższe okresy. Nie byłoby wtedy powodu do usuwania od pracy matek, które są chyba nieraz, np. w szkolnictwie, bardzo cenne. To że się matka na parę godzin wymknie do pracy, z którą się żyła, do ludzi, z którymi ma wspólne zainteresowanie fachowe, nie zaszkodzi rodzinie przeciwnie — podniesie radość życia i ochoczość matki. Zamknięcie się hermetyczne w dziecinnym pokoju i kuchni działa na nią przygnębiająco. Praca poza domem staje się psychicznie niezbędną dla kobiety, która się do niej wciągnęła. Przy istnieniu półpracy i zastępstw, przestanie być dla niej ciągłym, ciężkim musem.

Najwięcej przeszkadza w pracy zawodowej i zabiera sił matkom wychowywanie niemowląt, a to dlatego, że się u nas odbywa w sposób zupełnie dyktancki i bez odrobiny jakiegóżdż wzajemnej pomocy.

Przecież kobieta bierze się do tej pracy bez żadnego przygotowania; staje się matką, nie mając pojęcia, jak wygląda normalne niemowlę, jak się zachowuje; boi się nieraz wziąć je do ręki. Ileżby się zaoszczędziło sił i niepokoju, gdyby się przedtem przeszło kurs praktyczno-teoretyczny w szkole dla przyszłych matek. Jeśli kobiety poznają, czem jest i jakim powinno być wychowanie niemowlęcia, łatwiej zrozumieją niezbędną organizację społecznej, która je pouczy i im dopomoże. Wtedy, mam nadzieję, powstaną instytucje, o których w artykule mowa, sale dziecięce, a właściwie żłobki dla niemowląt, duża szkoła nianiek, szereg innych rzeczy, o których była mowa w numerach

„Bluszczu“ r. b., cała organizacja, która umożliwi kobiecie dobre, spokojne wykonywanie pracy zawodowej przy rzetelnem i inteligentnem spełnianiu obowiązków matki.

Pierwszą z tych instytucyj samopomocy matek powinien być mojem zdaniem, wzorowo urządzony i prowadzony Dom dla Matki i Dziecka. Jest to dom, gdzie po skończonej chorobie może wraz ze swym dzieckiem znaleźć przytułek każda matka, nie mająca odpowiednich warunków domowych. Pozostaje tam tygodnie lub miesiące, może nawet pozostawić dziecko same, w wyjątkowym wypadku, kiedy z jakichkolwiek powodów zmuszoną jest odmówić mu swej opieki. Korzyści takiej instytucji u nas byłyby wprost nieobliczalne. Kolizja między pragnieniem dziecka, a brakiem mieszkania, zostałaby bardzo złagodzona, może nawet usunięta; stworzonoby ośrodek racjonalnego wychowywania niemowląt, bo przy tym Domu może i musi być prowadzona szkoła przyszłych matek i szkoła nianiek. Matki, zgromadzone w zakładzie, przejdą tam swoją szkołę młodych matek, mogą uczęszczać na wykłady na miejscu, i z jakimś zainteresowaniem będą słuchały tego, co ma dla nich natychmiastowe, praktyczne zastosowanie,—a stosować zdobyte wiadomości nauczą się pod kierunkiem osób doświadczonych, które życie swoje poświęcają wychowywaniu niemowląt, i jakże bardzo im pomogą w wychowaniu ich własnem. Jakże żywą będzie wymiana myśli w gronie tych młodych matek we wspólnej im, a tak bardzo pochłaniającej sprawie chowania własnego maleństwa. Po wyjściu z Domu pozostaje serdeczny stosunek z przełożoną i personelem zakładu, a także z towarzyszkami już nie niedoli, lecz bodaj najmilszych chwil życia. Dziecko odchowane, zdrowe będzie z mniejszym oporem przyjęte przez współwłaścicieli mieszkania i dalsze jego wychowanie nie będzie paczone względami na spokój dorosłych, bo takie odrazu dobrze prowadzone niemowlę naprawdę spokoju nie zakłóca.

Odpowiednia ilość wykwalifikowanych nianiek umożliwi zakładanie żłobków, — trzeba pamiętać, że wszelkie instytucje, gromadzące niemowlęta, muszą być prowadzone wzorowo, przez personel świetnie wyszkolony; najmniejszy błąd mści się w sposób okrutny.

Za dużo może mówię w tem miejscu o Domu dla Matki i Dziecka ale tyleby o nim jeszcze powiedzieć się dało. Nieraz pewno do tego tematu powrócić będziemy musiały, jeśli naprawdę zechcemy wspólnymi siłami rozpocząć własną obronę.

Aby taka samoobrona dała rezultaty realne, a nie pozostała w dziedzinie marzeń i czczych frazesów, muszą się potworzyć w każdym fa-

chu zrzeszenia, obejmujące wszystkie pracujące tam kobiety. Te poszczególne zrzeszenia muszą wyłonić wspólną centralę, która ujmie w swe ręce sprawy, obchodzące ogół pracujących kobiet.

Finansowanie organizacji dałoby się rozmaicie pomyśleć. Przedewszystkiem napewno się okaże że w samej Warszawie jest nas tak dużo, że minimalne nawet składki przez nas płacone dadzą sumy poważne. Być może mieszane związki zawodowe uznają naszą sprawę za sprawę społeczną i przeznaczą na nią część składek

ogólnych. Gdy się rozpocznie praca realna napewno i państwo, i miasto i instytucje społeczne i poszczególne osoby, i ogół społeczeństwa przyjdą nam z wydatną pomocą. Któż potrafi zebrać pieniądze jeśli nie kobiety,



gdy się naprawdę sprawą przejmą. Co do dobrej rady i pomocy moralnej—mamy instytucje, które z radością nam ją ofiarują, że wymienię tylko Polsko-ameryk. Komitet Pomocy Dzieciom Tow. Higieniczne, Ligę młodych matek, amerykańską szkołę pielęgniarek (ta ostatnia dopomogłaby w zdobyciu personelu).

Żebyśmy tylko miały energję podjąć tę pracę, a powinna się udać, bo dokonanie jej staje się już i u nas w Polsce nie tylko dla całej masy kobiet nieodzownem, ale i dla społeczeństwa bardzo nagłym.

Dr. Z. Garlicka

JAK WALCZYĆ Z NERWOWOŚCIĄ NASZYCH DZIECI

III.

Przechodzę wreszcie do trzeciej grupy warunków fizycznych, które nazwę ogólnie: higjena. Mam tu na myśli takie czynniki, jak powietrze, słońce, ruch, kąpiele i t. p. Jakże wiele błędów popełnia się i w tym kierunku. Mieszkania są niedostatecznie wietrzone, dzieci za mało używają przechadzek i ruchu na wolnem powietrzu i t. d.

Niedawno mówił mi jeden ze znakomitych lekarzy zagranicznych że świeże powietrze jest najlepszym lekarstwem na chore nerwy, że najcięższe ataki nerwowe leczy się teraz w ten sposób. Każdy z nas mógł się nieraz sam przekonać jak znakomicie działa na zdenerwowanie odetchnięcie świeżem powietrzem. Cóż mówić o kąpielach, o zmywaniu się i nacieraniu zimną wodą?! Toż to są środki, wprawdzie nadzwyczaj proste, ale znakomite i przez cały świat uznane. Tylko że my nigdy nie mamy na to czasu i dla siebie i dla dzieci. Lekceważymy najelementarniejsze prawa higieny i dziwimy się, że nasz system nerwowy się psuje.

Zapewne — nasi przodkowie byli zdrowi, choć nie gimnastykowali się i nie brali zimnych nacierań. Ale też nie siedzieli całymi dniami w zamkniętych pokojach nad pracą wyczerpującą nerwy, nie kładli się spać stale po północy, nie pędzili expresami, automobilami, aeroplanami i t. p. Prowadzili natomiast życie spokojne i przebywali dużo na świeżem powietrzu.

Zdrowe, umiarkowane i regularne odżywianie, sen dostateczny i w odpowiedniej porze, dużo słońca powietrza i ruchu — oto niezbędne warunki zdrowia wogóle, a zdrowych nerwów w szczególności.

Rozstrzygnąć pytanie, które czynniki mają większy wpływ na nerwowość: fizyczne czy duchowe? — nie jest rzeczą łatwą. Spory neurologów od szeregu lat trwające, nie mogły i nie mogą doprowadzić do rozstrzygnięcia tej kwestji. Tu znowu, jak wszędzie objawia się u ludzi wielka skłonność do przesady. Z jednej strony t. zw. psychoanalicy, którzy twierdzą, że przyczyny chorób nerwowych tkwią wyłącznie w psychice człowieka, a z drugiej równie skrajni zwolennicy fizyko-terapii, którzy wszystko odnoszą jedynie do złej przemiany materji. Prawda znowu, jak często leży w środku. Mówi nam o tem nasze własne codzienne doświadczenie.

To też nie wdając się w spory czysto medyczne, musimy dla naszych celów wychowawczych przyjąć, że i jedne i drugie czynniki grają rolę równie doniosłą.

Wiadomo bowiem, że w łańcuchu przepływających się zjawisk fizycznych i psychicznych nerwy grają rolę pośredniczącą. Z tego wynika konsekwentnie, że nie może być mowy o równowadze nerwów, jeśli nie ma jej w tamtych dwóch ogniwach. Wszelkie nadużycia z tej, lub z tamtej strony muszą wywołać zaburzenia w normalnym stanie systemu nerwowego, muszą prowadzić do tego, co nazywamy powszechnie nerwowością.

Najpospolitszymi przyczynami naruszenia równowagi nerwowej bywa brak lub nadmiar bodźców. Brak lub nadmiar pracy są dla zdrowia nerwowego równie szkodliwe. Wielką rolę gra także intensywność stanów psychicznych. Zbyt silne i zbyt często powtarzające się afekty — bez względu na jakość — a więc zarówno dodatnie jak i ujemne zakłócają spokój nerwów.

Strach, gniew, długotrwałe rozgoryczenie, zazdrość, przytłaczające

poczucie odpowiedzialności, wygórowana ambicja, kłopoty, zmartwienia, rozpacz i t. p. prowadzą często do stanów wprost patologicznych.

Ale tu zaczyna się cała trudność! Podczas gdy ujęcie czynników fizycznych przy dobrych chęciach i staraniach jest zupełnie możliwe, dysponowanie stanami psychicznymi nie należy do rzeczy zbyt łatwych. Wymaga to umiejętności, doświadczenia, a przede wszystkim — co najtrudniejsze — opanowania siebie i otoczenia.

Jedną ze szkół filozoficznych starożytności, a mianowicie stoicy uważali za szczyt szczęścia zupełną równowagę psychiczną, którą osiągnąć można przez całkowite opanowanie wszelkich namiętności. Inna rzecz, że ich zasady prowadzić musiały bez mała do wyrzeczenia się samego życia, bo usuwały wszelkie silne poruszenia i gorące porywy. Obracamy się więc znowu między dwoma ekstremami: między stoickim znieczuleniem, a nowożytną nadwrażliwością. Stan optymalny leży znowu jak często w złotym środku.

Potrzeba opanowania nerwów jest nietylko przykazaniem etycznym, społecznym, ale wprost pedagogicznym, ale wprost koniecznością fizjologiczną. Kto wczas nie nauczy się tej sztuki, staje się igraszką „w ich rękę“, dochodzi do rozstroju.

To też nie tylko dla wartości psychicznych, ale i dla celów higieny tresura woli jest wprost koniecznością.

Albowiem życie jak życie — nie sie ze sobą bodźce najrozmaitszej jakości i natężenia. Do tego trzeba być odpowiednio przygotowanym, zahartowanym. Znani autorzy Payot i Roosvelt uważają kształcenie woli

nietylko za profilaktykę dla nerwów zdrowych, ale nawet za środek leczniczy dla nerwów chorych. Interesujące przykłady wykazują, jak spokój i opanowanie fizjologicznie oddziałują na system nerwowy.

Zahartowanie woli, wyrobienie dużej odporności byłoby więc pewną

ochroną nerwów, że tak powiem od wewnątrz. Pozostaje jeszcze druga strona tej sprawy, a mianowicie oddziaływanie z zewnątrz. Usuwanie a przynajmniej unikanie bodźców zbyt intensywnych, zbyt drażniących, zbyt często się powtarzających jest rzeczą zupełnie możliwą. Trzeba tyl-

ko doniosłość tego zagadnienia zrozumieć. W tych dwóch kierunkach powinna iść praca wychowawcza domu i szkoły.

Do spraw, związanych ze zwalczaniem nerwowości u dzieci — powrócimy jeszcze w artykułach w nadchodzącym roku. K. S.

ŻEBRUŚ

Wśród pogodnych obrazów dzieciństwa, jawi się najczęściej przed memi oczami zawięta, zacna twarz pana Żebrowskiego. Wystarczy przypomnieć sobie w dawnym mieszkaniu gabinet ojca, pozawieszany tak szczelnie sztychami i fotografiami, iż nie widać było, jakiego koloru jest tapeta, pełen kurzu, książek i specyficznego zapachu cygar i szpargałów, a natychmiast twarz pochylonego nad biurkiem „dependenta“ adwokackiego wynurza się z mroku, wraz z lampą z zielonym daszkiem i zegarem w drewnianej szafce. Pan Żebrowski, owa lampa i ów zegar, są po dziś dzień najmilszymi zjawami mego dzieciństwa. Czasem doznaję jakiegoś dziwnego przeświadczenia, że dusza w tych trzech spokojnych, nie wychodzących nigdy z równowagi istotach była ta sama; że dobry Bóg rozłożył jakąś jedną, pokorną i nieśmiałą duszę, wędrującą przez bezmiary światów, w wiekistej światłości na trzy części: jedną zamknął w staroświeckim, równo wydzwanianym godziną zegarze, drugą w lampie naftowej, z zielonym daszkiem, a trzecią podarował panu Żebrowskiemu.

* * *

Pan Żebrowski, Żebrusiem przyzwany, przychodził punktualnie do kancelarii mego ojca o piątej, zimą i latem jednakowo. Zapalał lampę i rozkładał na biurku akta w jasnozielonej okładce. Spoglądał na zegar w obawie, czy się nie spóźnił i zaraz zabierał się do pisania. Pisał okrągłym, prześlicznym, nieprawdopodobnie równym i młodzieńczym pismem, ścisłkając obsadkę między grubym, a trzecim palcem, palec zaś wskazujący był kikutem. Została z niego tylko cząstka, w gumowym naparstku. Poza tem pisaniem i temi aktami nie obchodziło go nic. O 7-ej matka przynosiła mu najczęściej sama szklanke herbaty z przekąską i zatrzymywała się chwilę, by z nim pogadać i zaproponować mu przeczytanie Kurjerka. Pan Żebrowski herbatę wypijał chętnie i od czasu do czasu rzucał okiem na nekrologi w „Kurjerze“, by

jak twierdził, dowiedzieć się tą drogą o towarzyszach broni i wygnania. Podczas rozmowy z matką zawsze ukrądkiem spoglądał na zegar, bo mu było pilno powrócić do roboty przerwanej.

Regularnie każdej soboty pan Żebrowski nakręcał zegar. Czynił to z namaszczeniem, uroczyście, a potem starannie do szuflady chował kluczyk.

— A co, odmłodził? — mówił, nadsłuchując, jak cyka zegar.

Słowa te wypowiadał stale o tej samej porze, co sobota z tym samym uśmiechem.

A poza tem — pisał. Trudno sobie było wyobrazić pana Żebrowskiego w innej sytuacji, jak przepisującego akta, którą to czynność spełniał akuratnie przez lat czterdzieści. Czy pan Żebrowski był kiedykolwiek dzieckiem? — stawałam sobie nieraz to pytanie, mając lat dziesięć. Żebrus musiał być dzieckiem, bo nie mogło być inaczej. Jako dziecko jednak, musiał napewno nosić takie same czarne okulary i szpiczastą, szpakowatą bródkę, był tylko jeszcze mniejszego wzrostu i przypominał małego gнома.

Gdy pan Żebrowski był młodzieńcem, wywieźli go Moskale w 63 roku na Sybir, zabrawszy z pola bitwy w lasach grochowskich. Podczas tej bitwy stracił swój palec. Ale mówił o tem niechętnie i nie lubił wogóle mówić o sobie. — „Poszedłem — odpowiadał — jak poszli wszyscy, co mieli polskie serca. Inni zrobili więcej odemnie. Co tam opowiadać! Głupstwo, bagatela!“

Sybir wyobrażałam sobie wówczas jako pustynię śnieżną, z jedną jedyką, nędzną lepianką, w której żył pan Żebrowski w towarzystwie wernego renifera. Dekorację z Anhellego psuło nieco to, że w owej lepiance stało wielkie biurko, podobne do biurka kancelaryjnego, a przy tem pod lampą siedział pan Żebrowski i pisał, pisał, pisał bez końca!

* * *

— Czy pan Żebrowski już wyszedł?

Znaczyło to: czy już jest piąta?

— Czy pan Żebrowski jest jeszcze?

Znaczyło to: czy jeszcze nie ma ósmej?

Był czas, iż chwila, w której pan Żebrowski zamykał akta w jasnozielonej okładce, oznaczała dla mnie żalną godzinę pójścia spać.

— Jeszcze chwilkę, mamusiu, jeszcze pan Żebrowski nie wyszedł!

I rozmaitemi figlami, jak: chowaniem laski, lub klucza od drzwi lub rozrzucaniem papierzyków na biurku, starałam się tę chwilę przedłużyć. Znosił wszystko z przebiegłym uśmiechem, tylko raz po raz rzucał zrozpaczone spojrzenie na zegar, zupełnie tak, jakby się bał, że się gdzieś spóźni. A przecież, nikt na świecie na Żebrusia nie czekał, prócz książek, które sobie kupował za oszczędzony grosz. A książki są cierpliwie, czekają wiernie i dependent zupełnie niepotrzebnie się niepokoił, że nie wróci do swej izdebki na oznaczoną godzinę...

* * *

Później, znacznie później nastąpiły dla pana Żebrowskiego gorsze dni, których tragizmu na szczęście nigdy nie danem mu było zrozumieć do głębi. Praca naukowa pochłonięta całkowicie mego ojca i w kancelarii było coraz mniej roboty. Nie mógł się z tem Żebrus oswoić i zaczął się trochę niecierpliwie. Przecież czas od 5 — do 8-ej trzeba było koniecznie wypełnić a czemże innym, jak nie pisaniem? Ojciec martwił się tem narówni z Żebrusiem. Niech Bóg broni, żeby Żebrus miał odczuć, że jest niepotrzebny! Przecież, jest to chyba jedno z najgorszych uczuć, jakich doświadcza człowiek stary, gdy widzi, że jest zbyt cenny na świecie. Kto by tam chciał sprawić zmartwienie Żebrusiowi! Więc wyszukiwało się dla niego przepisywania zgoła zbyt cenne, wynajdowało historie starych procesów, r komu już do niczego niepotrzebne, wymyślało coraz to inne roboty kancelaryjne, a on wszystko starannie i sumiennie prze-

pisywał swem równem, młodzieńczem pismem, z palcem wskazującym, żalnym kikucikiem, podniesionym do góry, jakby ku przestrodze. Przepisywał, nie odpoczywając ani chwili, nie tracąc czasu na zbyteczne rozmowy, skupiony i przejęty swą pracą do głębi. ||

* * *

Mogłoby być znacznie gorzej, gdyby pan Żebrowski wiedział, że w owym czasie zjawily się u nas pierwsze Remingtony. Zdarzało się, że ojciec w wielkim sekrecie przed nim wydawał swe rękopisy naukowe, za dom maszynistkom i ukrywał potem w biurku kopje maszynowe. Była to oczywiście wielka krzywda dla Żebrowsia, jak np. krzywdą dla męża jest, gdy zdradza go żona, choćby o tej zdradzie nie miał wiedzieć do końca świata.

Czyż mogła jakakolwiek najdoskonalsza maszyna przepisywać starannie, równiej i czysiej, niż on, ten zabłąkany w nowoczesnym świecie pokorny braciszek — skryptor średniowiecza, który w ciszy swej celi przepisywał latami całemi zbożnie i troskliwie, w pergaminowym mszale inwokacje do świętych, lub też żywot Najświętszej Panny?

Nigdy, do końca nie przyszło na myśl Żebrowsiowi, że praca jego pożytku nikomu nie przynosi. Pisał tak jasno, jak jasno świeciła lampa i tak równo, jak równo biło serce zegara...

* * *

Raz tylko jeden Żebruś nie stał się o zwykłej godzinie.

Była to sobota. Zrazu nikt nie spostrzegł nieobecności Żebrowsia. Ale zegar stanął przed samą ósmą. Wtedy dopiero przeraźliwa cisza, która nappełniła sąsiedni pokój, gdzie pracował ojciec, przypomniała że stary dependent nie przyszedł jak zwykle. Ojciec sam zegar nakręcił, kiwając głową.

— Napewno coś musiał zmiarkować, — zaniepokoiła się matka. Uraziło go to...

— Wiedziałem, że tak się skończy, — mruknął ojciec. Nie przyjdzie już...

Ale matka wiedziała, że Żebruś przyjdzie i postarała się zawczasu o to, by zastał, na biurku dużą porcję do przepisywania. Jakoż na trzeci dzień, zjawił się, zakasłany z szycją, przewiazaną bandarzem flanelowym.

— Bardzo pana mecenasa przepaszam, — odezwał się nieśmiało, rozkładając spieszenie trzęsącymi rękami akta na biurku — czasem człowieka zło się uczepli, niewiadomo skąd i jak... Ale jakoś przeszło szczęśliwie, dzięki Bogu. Postaram się wszystko odrobić w ciągu dnia...

— Kochany panie Antoni, — powiedział ucieszony ojciec, ściskając mu rękę.

* * *

I jeszcze drugi był taki dzień w życiu Żebrowsia, w którym ten człowiek — zegar, człowiek — obowiązek, człowiek — pokora, drgnął nagle i rumieniec życia wystąpił mu na twarz zaszuszoną.

W przyległym pokoju odbywało się posiedzenie filantropijne, na którym przewodniczyła moja matka. Radzono właśnie nad tem, jak opieką doraźną otoczyć dwie sieroty, których rodzice padli podczas zawieruchy rewolucyjnej 1905 roku na ulicach Warszawy. Każda akcja społeczna, czy dobroczynna, była w owych czasach dorywcza, bo na żadną pracę zorganizowaną nie pozwalali Moskale.

Żebruś przestał pisać i nadłuchiwał z natężoną uwagą.

— A więc zgadzacie się państwo na to, że każdy przyniesie, to, na co go stać dla sierot? — powiedziała na zakończenie sesji matka.

Żebruś zmarszczył brwi, jakby rozważał w sobie głęboko ostatnie słowa. Poczem powrócił do pisania.



Ale nazajutrz przydzwigał pod pachą trzy tomy dzieła, w półskórek oprawne! Była to, pamiętam dobrze: „Polska w czasie trzech rozbiorów” J. I. Kraszewskiego.

— Nic innego na razie nie mam, — usprawiedliwiał się zakłopotany. Może się to jednak przyda dla sierot.

Matka starała się nie uśmiechnąć, ale ja z okrucieństwem, właściwym młodości zawołałam z wybuchem śmiechu:

— A cóż im po tych książkach, panie Żebrowsiu?!

Odrązu jednak zrozumiałam mój nietakt, nim jeszcze matka powiedziała serdecznie, wyciągając rękę po książki:

— Doskonale, panie Żebrowski. Książki łatwo się spienięży, a sieroty będą panu bardzo wdzięczne...

Uśmiechała się z wielką przyjaźnią do Żebrowsia, a on stał jak winowajca, ze schyloną głową...

* * *

Ach, przecież w tem wszystkim nie było nic nadzwyczajnego! Przecież w niejednej kancelarji, w niejednym biurze, pisał owemi czasy, pod lampą naftową z zielonym daszkiem taki pan Żebrowski — dependent starej daty, a zegar w kącie tykał niestrudzone godziny powszedniego dnia... Takie to było proste i zwykłe, mój Boże, żadnego w tem liryzmu, żadnego bohaterstwa, ani patosu! Zwykła rytmika szarego, powszedniego dnia pracy!

Gdy pan Żebrowski umarł, ojciec oprawił jego fotografię w czarną ramczkę i powiesił w swoim gabinecie między portretem księdza Staszica, a wizerunkiem powstańca Romana Rogińskiego.

Nieraz patrzę na tę fotografię, przypominam sobie lampę, której już niema i zegar, który przestał chodzić. A z mroku pokoju wynurzają się wtedy mary dzieciństwa i uśmiechają się pogodnie, z przyjaźnią, jak twarz starego Żebrowsia...

Zuzanna Rabaska.

AFORYZMY I PARADOKSY

„Przejścia moralne” nazywają się tak dlatego, aby trudniej było zgadnąć, że są często niemoralne.

Żadna krzywda w naturze nie ginie.

Mężczyzna jest stworzeniem tak niewybrednym (czytaj wszystkożernym), że pochlebia mu pawodzenie nawet u najgorszego gatunku kobiet — podczas, gdy niewiasta dużą część ambicji umieszcza w doborze godnych wielbicieli.

Miłość nieodwzajemniona, jeśli ma być uszanowana, musi pozostać w ukryciu.

PAUL GIRALDY

N O W E L A

O D J A Z D

Cała nasza rodzina zebrana była w lipcu 1914 roku na wsi nad Loarą, tak jak co roku w lecie. Brakło tylko Henryka, którego interesy zatrzymywały w Paryżu. Nalegaliśmy, aby nam przysłał Helę z dziećmi. Ale Hela, jak zwykle, za nic w świecie nie chciała rozstać się z mężem.

Dzienniki przynosiły zadziwiające wieści. Lecz na świecie panowała cudna pogoda i my odnosiliśmy się sceptycznie do tych alarmów. Niepokojący list od Henryka za ledwo na chwilę nas wzruszył. A jednak uważał on wojnę za nieuniknioną i przewidywał niezmiernie doniosłe wydarzenia. Gdyby wypadki miały przybrać groźniejsze rozmiary, przyspieszy swój przyjazd, aby spędzić z nami bodaj jeszcze chwil kilka. Podczas gdy czytałem głośno o tych wszystkich sprawach, świerszcze dzwoniły tak głośno, że można było myśleć; że przechodzi cały szereg mułów, potrzęsających dzwoneczkami.

Wybraliśmy się na spacer. Gdyśmy wracali nieco znużeni, skapani w czarrze tak wspaniałego wieczoru, że się szło w ekstazie, matka moja wyszła na nasze spotkanie, pokazując nam z daleka telegram. Przyspieszyłem kroku, aby go wziąć, opanowany nagle dziwnym niepokojem...

— Przyjeżdżam jutro.

Henryk

Nie powiem jaka była pierwsza nasza myśl. A zresztą już teraz nie tylko o nas chodziło. Po chwili milczenia, matka moja rzekła:

— Hela bez Henryka...

Nazajutrz rano, około jedenastej; stary, zakurzony omnibus, który chodzi ze stacji, stanął przed ogrodem, cały założony kuframi u szczytu. Pierwsza ukazała się Hela, zeskakując lekko. Przywitała nas tak wesoło, że ogarnęło mnie zdziwienie. Sądziłem, że wyczytam na jej pięknej twarzy, ślady zmęczenia i trwogi, lecz nie było ich wcale. Henryk za nią niósł dzieci, zajął się kuframi. Hela, ująwszy Żermenę pod ramię, kierowała się ku gankowi. Nareszcie pochwyciłem spojrzenie Henryka. Poczuję wnet, że się rozwiewa moja ufność szalona. Musiałem zblednąć. Henryk powiedział mi:

— Ostrożnie! Hela!...

I zrozumiałem dlaczego dziecina nasza Hela miała taką spokojną twarz...

Po śniadaniu Henryk powiedział wesoło:

— Co słyhać z tenisem? Czy plac w tym roku odnowiony? Kpiliście zeszłego lata z moich improwizowanych, sportowych strojów. Uprze-

dzam was, że mój krawiec zrobił mi wspaniałe spodnie z białej wełny. Chcę koniecznie je wam sprezentować, Będziemy grali?

Czekaliśmy, aż się ochłodzi. Poczem udaliśmy się do swych pokojów dla przebrania—za wyjątkiem leniwej naszej Heli, która powiedziała:

— Mam na sobie białą suknię, zostanę w niej. Heniu, przynieś mi trzewiki.

Henryk wywołał sensację, gdy zeszedł z pierwszego piętra. Jego tenisowe spodnie były istotnie imponujące. Zabawna mieszanina dobroduszości i elegancji, jaką przedstawiał, sprawiła, żeśmy się śmieli jak dzieci. Byliśmy doskonale szczęśliwi, bez dobrej racji, dlatego tylko, żeśmy byli razem.

Hela zmieniała przy nas obuwie, gdy dzwony poczęły dzwonić w sposób, który wnet mnie zadziwił. Pamiętam, że spoglądałem wówczas na nogę Heli, zadziwiająco drobną na osobę tego wzrostu i niemal za wysoko sklepioną pod przezroczywą pończoszką. Nie rozumiałem, co mówiły dzwony, lecz głos ich dławiał mnie trwogą. I wnet przybiegł dzieciak ze wsi, cały zadyszany i spocony, błydy z wrażenia, jakie w nim wywołał płacz kobiet wiejskich. Krzyczał.

— Wojna! już jest! Rozkleili afiszel...

I pobiegł pędem, roznieść dalej wiadomość. Hela upuściła na posadzkę płócienny pantofelek, który trzymała w ręku. Wielki chłód przebiegł mi po żyłach. Spojrzałam na Henryka, wydał mi się zupełnie biały. Lecz pochylił się natychmiast, aby podnieść pantofelek żony. Potem głosem ledwo zmatowanym:

— W takim razie to ostatnia partja! Wobec tego, moje dzieci, musimy grać... Daj swą łapkę powiedział do Heli.

Spoglądała na niego oczami, z których myśl uciekła. Widocznie nie zdawała sobie sprawy z całej doniosłości wypadków. Zdawała się szukać ich znaczenia w oczach męża. Uśmiechnęła się do niej dobrym uśmiechem. Wówczas podała mu nóżkę.

— Dalej, wkładaj — powiedział. Zawiązał sznurowadła.

— Henryk jest nadzwyczajny — powiedziała mi cicho Żermena.

Henryk wziął żonę pod rękę. Szliśmy za nimi z Żermeną. Gdy przybyliśmy na plac, zawołał:

— Żermena ze mną, Helena i Gerald razem.

Gra rozpoczęła się natychmiast, niezręcznie, jak zwykle z początku, a potem coraz pewniejsza. Hela rozgrzewająca się powoli, chybiała wciąż na razie. Poczęła się denerwować.

Całe jej ciało wydłużyło się, stało się ruchliwsze, żywe w ruchach.

— Dobrze! — wołał do niej Henryk, ok yty potem.

Zrozumiałem, że umieścił ją koło mnie, naprzeciw siebie, aby lepiej ją widzieć, aby napełnić oczy jej widokiem—na długo.

Gra stawała się piękną. Hela ręką pewną i giętką, z męską niemal siłą, posyłała piłki trudne, niemożliwe do odbicia, które jednak Henryk odbijał brzegiem rakiety i które przechodziły nad samą siatką, proste, mocne, horyzontalne. Nigdy nie graliśmy tak dobrze. Zadowolenie z siebie nie dawało myśleć o zmęczeniu, a nawet zmęczenie samo było nam pomocne, wyostrzało subtelność zmysłów naszych.

Sąsiedzi przechodzili drogą. Zatrzymywali się, potem szli dalej. Dowiedziałem się później, że widząc nas tak oddanych grze, przypuszczali, że nie wiemy jeszcze o niczem. Nie chcieli nas pozbawiać kilku ostatnich godzin szczęśliwych.

Graliśmy aż do wieczora, aż do chwili, gdy kontury piłki tracą jasność zarysów, gdy błydy odbłask rzeczy białych ludzi, pozwala jeszcze wierzyć, że jest widno, lecz w gruncie tylko zwodzi wzrok. Trzeba było przestać w końcu. Henryk pozbierał wszystkie piłki, potem, pozwalając zmęczonym kobietom iść wolo naprzód, powiedział:

— Musimy zdjąć siatkę. Pomóż mi.

Zwiniętą wziął na ramię i ujął mnie pod rękę.

— Stało się, mój mały! Gotów jestem życie oddać w ofierze. Pozostawiam dwie córeczki i byłem szczęśliwy. Mało ludzi powiedzieć to może o sobie.

Siedzieliśmy długo w nocy, pomimo, że Henryk miał odjechać o czwartej z rana. Położyliśmy się na godzin kilka. O świcie, udałem się na dół. Henryk w jadalni wiazał swe zapasy podróży. Nie chciał, aby Helena opuściła swój pokój. Musiał sobie powiedzieć, że żegnając się znowu, wobec nas wszystkich, w zamieszaniu chwil ostatnich, zepsuje piękno ich ostatniego pocałunku.

Szybko minął ogród, poszedł do bramy i odwróciwszy się zawołał:

— Helu!...

Ukazała w oknie twarz zalaną łzami.

— Helu, spójrz na mnie ostatni raz...

I jakby chcąc copędzej zatrzeć to, co zabrzmiało w głosie jego nieco za poważnie, uśmiechnęła się do niej, jednym z tych uśmiechów, właściwych jemu, pełnym miłości, pełnym wiary, ufnym w zwycięstwo i w powrót.

Odjechał... tłumaczyła M. D

MARJA DĄBROWSKA

N O W E L A

Ł U C J A Z P O K U C I C

— Cicho dzieci, cicho, prosiła Zosia brata, a kogut w sąsiednim kurniku znów odpowiedział, nieco łagodniej tym razem—kko-ko!

— Cicho dzici, cicho, rzekła Zosia ponownie, lecz nadarmo. Kacperek wrzeszczał już, a kogut krzyczał także i kaczkę zaczęły pogadywać.

— Trzeba wstać do dziecka, a ty mamy nima, a nima—rzekła Zosia głosem napuchniętym od płaczu.

Lecz trzeba było jednak wstać—i Zosia wstała. Z przestraczem dotykała przedmiotów, które były tak odrażająco zimne, że aż mokre.

Włosy jej się zjeżyły, a kolana stuknęły o poręcz kołyski. Złowroga bladeść nocy, która była pierw tylko na twarzy, rozpościerała się teraz na rękach, stała za plecami, groziła z boku. Szybciej, niż można to uczynić przytomnie, Zosia doszperała się cukru zawiniętego w szmatkę. Znalazła flaszkę z lekką wódką i chciała kapnąć—ale ma się rozumieć chlusnęła sobie na palce, które zmarzły jeszcze bardziej.—Szukała troskliwie małej buzi. Kacperek uspokoił się natychmiast i z bezgraniczną ufnością ssał, wykonywując pod kraciastą poduszką niepojęte susy radości.

Zosią miotają burzliwe siły. Nieposłuszna i zbuntowana skoczyła do łóżka matki i nasłuchiwała drżąc.

Kroki matki głuche i skrzypiące, jęły się wkrótce rozlegać koło domu, jakby ktoś chodził po jego ścianie. Łucja hałasowała długo i niezgrabnie u kłódki przy drzwiach.

Nakoniec weszła. Weszła sama. Potykała się o wszystko, zrzuciła sito.

Zosia poruszyła się, szepcząc: Mama.

— Śpij córuchna, śpij. Śpij! Śpij—mruczała Łucja, hałasując coraz to mocniej.

Rano Łucja wstała, mówiąc:

— O Matko Boska, jaki jo tyż paskudny sen miałam.

Nie powiedziała jednak jaki.

— Mama, Kacperek tak płakał w nocy. Tak płakał. Tak płakał,—zdawała sprawę Zosia.

— Coś mu dała? Dałaś mu cukru pocycić.

— Why—odparła Zosia tonem, który mówił, że to się rozumie samo przez się.

— Lepi mogłaś mu dać mlika, tam było ździebko we flaszcze.

Wszczęły się codzienne zabiegi wstającego dnia, takie same wszędzie, gdziekolwiek są pod dachem cztery ściany i krzątający się w nich człowiek.

Pod okienkiem całym w złości stych skrach, Zosia uwijała się rażno z Łucją, tupiąc drewnianymi trepmi.

— Pomogej, mamie, pomegej, musisz od małości robić, zachęcała

ją Łucja—wyciągając z kołyski Kacperka.

— Płakałeś, płaszuchno.—Płakałeś kruszyneczko w nocy? Płakałeś, płakałeś, płakałeś—powtarzała te same słowa, jak powtarza je prosta pieśń, dla wyrażenia siły uczuć.

Podrzucany rękami matki, Kacperek zamachał rękami, lecz nie uśmiechnął się.

Łucja obnażyła swą ciepłą, jasną pierś i przytuliła do niej ciemne, zmarznięte liczko.

Karmiąc go poczuła, że przestał ssać.

— Jak mi to usnął. Zosia, popraw mu kołysieczkę, popraw—rzekła małym głosem, wśród ciszy, jaka nastaje w domu, gdy dzieci śpią.

Ułożyła go i co żywo zesiekała kartofle dla świń.

Przed wyjściem zajrzała do dziecka, które stało się teraz czerwone.

— Jak to się opił, rzekła, i nagle przestraszyła się.

— Ady mi to dziecko choreł krzyknęła

Tak było rzeczywiście. Kacperek chorował dwa tygodnie i nie wiadomo na co. Nie chciał jeść i stał się podobny do szarej kukiełeczki, z czarnymi, jak mały grosik, usteczkami, przez które oddech wyskakiwał tak dziwnie, jak gdyby dziecko ciągle łąkało.

Nosek jego był siny i zimny. Białka w oczach zrobiły się tak samo sine, jak były źrenice i strasznie było patrzeć na te granatowe oczy.

Jednak przychodzili wszyscy i patrzyli troszkę.

Łucja nie mówiła do nikogo ani słowa. Nikt też nie wiedział, że pewnej nocy była u starej Trzepakzki i że spaliły z nią list Władysława na czerwonym suknie.

Lecz popioły nie dały się rozrzucić, wracały ciągle do stóp Łucji i tak leżały. Łucja poczuła się osaczona ze wszystkich stron. Stachowi Kuczy druga dziewczyna miała już niedługo dziecko rodzić. Nawet nie dowiedział się, czy Kacperkowi nie lepiej.

Nie było też lepiej, było gorzej, W dwa tygodnie do dworskiej kuchni przyszedł mleczarz Doniży, dźwigając czapę śnieżycy na swym garbie i rzekł.

— Umarło to dziecko tej Łucji z Pokucic.

— Umarło?!

— Umarło.

* * *

Władysław zdawał się czekać aż umrze mały Kacper—tak długo nadciągał i tak powoli.

Najpierw, ma się rozumieć, widziano go w Pokucicach i to do Łucji doszło.

Wtedy padła [w trwodze na kolana i odmówiła wszystkie paciery, i odmówiła koronkę, i odmówiła różaniec.—Inne gorzyj robom—pocieszała się—i nic.

Nadszedł zdumioiny, szary, olbrzymi, w papasze, na twarzy smagły i bardzo szczupły.

Mysłał, że wróci do domu, który był dla siebie i swojej kobiety ustanowił—tymczasem wstępował w obce progi, i zrazu nie czuł się tu panem. Pytał a pytał:—Toś ty tu? Tu cię nalezem?

Drżąc ręką Łucja podsunęła mu ławę.

— Czemużeś wiency jak bez rok nie pisała—dowiadwał się i wciągał sobie na kolana dziecko, darząc je szorstkimi uściśnieniami, których czułość wyglądała na okrucieństwo.

Odpowiedziała mu, że przecież pisać nie poradzi.

— A przodzi żeś napisała? Chto ci przodzi pisał, to ni móg?

— Między obcemi nie śmiałam prosić.

Z wielkoduszną naiwnością uznał to za wystarczające i zrozumiałe.

— Takaś tu była samiuchna?—rzekł, wodząc za nią przejrystymi, żbiczmi oczyma, i dodał wspaniałyomyślnie.

— Zrazu mi było markotno, żeś ty tu.—Aleś ty dobrze zrobiła. Gdzie Rusocin a gdzie Pokucice. Tu będzie lepiej.

Sztywność powitania, wywołana przez zdumienie i przestracz zaczęła topnieć. Dziecko w objęciach ojca, przeciągało się raz po raz, przeciężając nieśmiałość.

Zaczął nawet coś odpowiadać szeptem i skinieniami głowy, nie śmiąc wciąż podnieść oczu. Władysław puścił dziewczynkę, by wypatroszyć swój toboł.

Okazało się, że przywiózł Łucji chustkę z różowego jedwabiu, haftowaną w nieznane białe kwiaty.

Cichaczem zawiadzał jej tę piękną rzecz na ramiona, gdy nie widząc stała przy kuchni nad garczkami.

Wejrząwszy w skrawek przejrza dełka, Łucja zobaczyła, jak ciężka materja spływa z niej, niby różana woda i jak nad tem iskrzą się jej szafirowe oczy. Wdzięczność za strój wzbudziła w niej nagle gorący strumień chęci, który żłobił sobie swe błyskawiczne drogi przez odrętwienie zgrozy.

Pod wpływem tych uczuć spoili usta i przytulili się do siebie. W uściśku tym stopniały wszystkie grzechy. Szczęra radość, poczucie zupełnej wierności i nieodpowiedzialne zapomnienie, jakiego siedliskiem bywa tylko serce kobiet—owładnęły rozżarzoną Łucją.

Słyszając, jak śmieli się do siebie—Zosia nabrała też śmiałości— a gdy Łucja wyrwała się do kipiących ziemniaków, dziecko zaczęło ojcu zwierzać się z tem i z owem, ze wszystkim co tu się działo. Odwoływana gorączkowo przez matkę, dziewczynka znów nadchodziła i dalej opowiadała. Jej szczebiot mieszał się z grubemi prostymi pytaniami ojca. Naturalnie powiedziała nakoniec, że mieli tu takiego małego Kacperka.

— Kogoś ta mieli—zapytał Władysław strwożony— Kacperka—Synka—i wśród naiwnych uśmiechów triumfu Zosia pobiegła i pokazała, stukając trepkami, gdzie stała kołyska tego chłopca.

Bardzo krótko trwała zła cisza, która teraz nastąpiła, lecz dość długo, żeby przerazić małą. Została uderzona nagle w dziki płacz.

Wtedy Władysław powstał i przyciągnął do siebie córkę. Usiadł z powrotem. Wziął krzyczące wniebogłosy dziecko między swe kolana i mówił prosząco:

— Nie płacz — Niece płacz. — Niece płacz.—

I to trwało długo. Tak długo, aż głowa małej dziewczynki przestała się rzucać po jego piersi w strasznych łkaniach. Wtedy ojciec zaczął się cały ze swą córeczką kołysać z boku na bok—i nucić:—

— Ny ny, ny y

— ny ny, ny y

maluchne

dzieciątko.

Nucił coraz ciszej, aż zasnął z twarzyczką lśniącą od łez, wśród poczepianych na ubraniu ojca złocistych włosów.

Nowacki wziął na ręce swe dziecko i położył je na łóżku.

Rozejrział się. Tylko na moment podniósł oczy na Łucję. — Ściągnął z niej różową chustkę. Przedarł ów jedwab na pół. I przedarł go na cztery części. I przedarł go na osiem. Rzucił te kawałki i zeszcargał je nogami po ziemi.

— Tak tyś stretowała moje serce—rzekł, chrapiąc.

Nałożył z powrotem wszystko z czem był przyniósł i, myśląc się ruszył najpierw do drzwi kurnika—skąd rozległo się trwożne gdakanie.

Mruknął— cholera— trafił na właściwe drzwi i wyszedł.

* * *

Od wszystkiego tego Łucja zajęła się nagle jak od strasznego pożaru. Zrozpaczona, pokonana, wzbudziła w sobie szaloną młość wspartą o strach, lecz tem silniejszą, dociągniętą do wyżyn, na jakich nigdy nie była.

Nic nie biorąc na siebie, skoczyła w ciemną noc, w ciężki łomot wiatru pod czarnymi chmurami.

Biegła, zgubiwszy trepy z nóg, cierpkich od mrozu i zapadała w śnieg, który ranił ją po pas dotknięciami gryzącego zimna.

Lecz biegła wciąż, krzycząc: Władziu! i krzycząc: Władziu! i krzycząc: Władziu!

Nakoniec chwyciła go za rękę. W milczeniu wyrwała ją i kroczył dalej.

Chwyciła go za drugą, lecz wyrwała ją także.

Było tam wśród ciemności, wichru i śniegu takie mgnienie, że Łucja zwątpiła. Któryś jej krok stąpnął mniej rączo, zachwiała się.

Lecz pchnięta niezwalczoną nadzieją, wyteżyła ostatek sił, zabiegła mu drogę i upadła mu do nóg w milczeniu.

Temu stresznemu wysiłkowi miłosnego cierpienia nikt się nie oprze. Można dużo rzeczy brać za miłość, lecz gdy ona przychodzi naprawdę— nikt nigdy się nie omyli.

Władysław podniósł Łucję i trzymając ją w dyszących objęciach mówił tylko.

* * *

Lecz gdy nazajutrz wstali okazało się, że żyć z sobą nie mogą.

Mleczarz Donizy, zairzawszy do nich zrana, odszedł niezauważony— i powiedział innym, żeby tam nie chodzili, ale że trzeba dać baczenie, gdyż tam jest piekło. — Zosia płacząc siedziała w dworskiej kuchni.

Oni zaś kłócili się całe godziny. Wspaniałomyślna miłość, jaka ich ogarnęła wczorajszego wieczora, nie starczyła na dzień. Wyszargali ją w obelżywych słowach.

W końcu domówili się znów do nieprawego dziecka. Władysław wypominał jej swoją wierność i swoją krzywdę— a Łucja rzekła:

— Mnie było gorzej. — Mnie dziecko umarło. — Wtedy musieli się już rozejść. Umarły Kacperka stanął między nimi i już nie odszedł.

Władysław Nowacki, będąc już w drodze, stał jakiś czas daleko za wsią w szarudze roztopów i ścisnął pień wierzb. I pytał:

— Żeliby ludzi podpaliła, żeliby zarznęła kogo, czyby jej darował? Tak—darowałby jej, a nawet na katorgę by z nią poszedł.

Lecz tego, że z nim obłudnie żyła, że z drugim nocie trawiła. — Nie—każdy wie, jak to jest, bo każdy może to zrobić. Każdy zna ten grzech, jak żaden inny i sobie go nie da wyrzadzić.

Strasznie było iść znów samemu w czarne topniejące śniegi i na ten wiatr, który bez wytchnienia podnosił je znowu, i podnosił je znowu.

Lecz był na wojnie i jest do złego przyzwyczajony. Tedy poszedł.

* * *

Już teraz Łucja nie mówiła, że świat się nad nią skończył, że nie ma więcej życia.

Gdyż ono było.

Gdyż były dni, w których świeciło słońce, lub chmury pędziły po niebie, i były noce, w których ciężki sen zlepał powieki.

Była wiosna jasno-zielona, i było lato ciemno-ogniste.

A przychodzi na człowieka czas, gdy nie pozostaje mu nic więcej, i czas ten przychodzi sprawiedliwie.

Przez lato Łucja milczy, ale robi swoje, służy dobrze jak nigdy i zamia-ry, żeby ją odprawić, upadają powoli.

Uśmiech błąka się równie często jak pierw na twarzy Łucji, lecz uśmiech ten jest bolesny. Twarz jej zmieniła się także, a nos wyciągnął się jeszcze bardziej! Barki się pochyliły. Oczy zbladły.

Dobrzy ludzie donieśli j-j, że władysław jest w Hamburgu, i że się tam zeszedł z jedną Niemką. Tak się odmienia kolej rzeczy.

Mimo to, mówiono, że Łucja coś knuje. Że jakoby zamierza puścić się w podróż—jechać do męża.

Na jesieni zapytano ją o to ze dworu.

— Ano może odejść i pojedę

— A gęsi?—zaniepokoiła się pani—Przecież gęsi nie podskubane. Nie wymawialiście na święty Michał, a ja tu przecież na wasze miejsce nikogo z rękawa nie wytrąsne.

Gęsi rzeczywiście trzeba było skubać, bo już gubiły piórka na zroszonych i zapających ugorach.

Oczekiwano też na przybycie handlarzy gęsi z ich wielkimi hakami. Jesień rozpraszała już wszystko, a łście ociekały zewsząd w złotym nieładzie.

Po paru dniach szarugi, powabna zieleń zasunęła się w kolorowych strzępach na ziemię i w strzępach tych brodziły drzewa—pełne rozczapierzonych gałęzi, pozaginionych jak sękaty pazur.

Wiesź stała naga i odkryta—po wilgotnym szafirze nieba snuły się chmury różowe, i popielate, powietrze jak dym.

W przejrzałym ogrodzie dzwonił przenikliwe jesienny ptaszek, czując się nagle obco w tym braku cienia, pełnym złamanych bądli i upadłych twarzą na ziemi słończników.

Śród pustki, z najdalej słykuchać było głos gęsi, wołający uparcie:

Gęg! Gęg! Gęg! Gęg!

Bielili się olbrzymi mstadem, jak żagiel w rudej toni na płasko rozpostarty.

Zapędzono je do kurnika i na podwórku między chrustem, a kupą gnojw, wśród bladych godzin krótkiego dnia, skubano je.

Gęsi usiłowały wywinąć z pomiędzy kolan swe giętkie łby. Gdy im się to udało, obróciwszy w tył szyję, patrzyły na swe rozłożyste piersi, po których latały czerwone ręce. Lecz mimo bólu i strachu, ich czarne oczy i marchwiane dzioby nie straciły ani na chwilę wyrazu śmiesznego zadowolenia.

Nie wszystkie dziewczyny umiały dobrze skubać, niektóre powyrywały gęsiom łotki.

Biedne stado chodziło teraz w opłakanym stanie. Piersi ptaków były potarmoszone do gołej skóry, do krwi

nawet — a wiele z nich nie mogło utrzymać swych skrzydeł. Z niezmaczoną pogodą podciągały je sobie na grzbiecie, a skrzydła obsuwały się znowu.

Łucji było żal na to patrzeć.

Teraz było jej ciągle żal i żal.

Nie lubiła siedzieć u siebie w domu — gdzie Kacperek umarł, gdzie tak straszne rzeczy się porobiły.

Była rada, kiedy ją pani wzięła na wieczory do darcia pierza. Zabierała ze sobą Zosię — brała dla niej gałganki, patyczki — żeby dziecko miało się czem w kącie bawić i szła do dworu. Siadały w długiej stancji przy stole, na którym pieniała się puszysta góra pierza.

Było ich sześć. — Oprócz Łucji wszystko podeszłe w latach dwórki. Nażyły się, nasłuchały, napatrzyły — i gadały o wszystkich sprawach pogodnie i bez osłonek. Życie było już dla nich jak ogród w listopadzie, gołe, i była w niem ta sama ostateczna piękność. Wiedziały, co dzieje się

każdym dachem wsi we dnie i w nocy, a pobłażliwe i wyrozumiałe na wszystko, uważały, że nieco pokuty każdemu zrobi dobrze.

Nawodziły myśl Łucji na rzeczy ciche i pobożne,

Spiewały koło niej odwieczne pieśni grzeszników i usiłując nadać melodię swym bezdźwięcznym głosom, wołały:

Strasznego Majestatu Panie,
za me grzechy płakać łez nie stanie.

A gdy mrok czynił godzinę coraz to cięższą — dołączał się strwożony głos Łucji — I głos ten brzmiał wśród starych jak dzwon pośród kołatek — gdy rozdmuchując pierze korzyła się błagalnie.



— Kto da oczom łez obfite rzeki!
Trzeba bowiem płakać całe wieki
Żem wiecznego Boga mego,
Za moment czegoś marnego
Śmiała znieważać.

Białe gwiazdy zaczynały migotać za oknem po wiekuistym niebie. Przyniesiono lampę.

Śpiew się załamał — wdarły się w niego rozmowy.

Oto Wypyszka miała list z Prus, od syna. — Pisał że pracuje w porcie w Hamburgu. Dalej, — że namawia siostry, by tam jechały do niego.

— W taki tam świat jechać...

— A daleko tyż do ty Hamburgi — spytała, wstrzymując oddech Łucja.

— Jak Olek jechoł, to jechoł coś ze dwa dni

— O matko — A jo myślała, że to trza jechać z dni dziesięć wykrzyknęła Łucja.

— Ady to nie tak daleko! Nie tak daleko — powtarzała z radością. *Koniec.*

HELENA CEYSINGERÓWNA

D R O G A M I D U S Z Y

(p o w i e ś c i)

— Myślę, panie prokuratorze, że najlepiej będzie, jeśli żadne z nas wychodzić nie będzie ze swej roli.

A jednak zmuszał ją ten człowiek do towarzyszenia sobie po śliczych ścieżynach rozmowy, napały urzędowej, napały towarzyskiej, pany jakąś chorobliwą żądzą zdarcia zasłony z jej duszy. Ale zasłona była wciąż jeszcze gęsta i nieprzenikniona. Oskarżona miała się na baczności i im bardziej czuła, że ulega jego wpływowi, że dostaje się jakimś niezrozumiałym sposobem pod jego władzę, tem ostrożniej pilnowała każdego słowa i każdej myśli nawet. Myśli... bo od pierwszej chwili wydało jej się, że człowiek ten posiada dar przejmowania myśli, więc podczas rozmowy z nim starała się nie myśleć mocno o żadnej z kwestyj, wchodzących w plan śledztwa, lub myśleć o niej właśnie tak, jak chciałaby, by uwierzyli jej ci ludzie. Po pewnym czasie stało jej się jasne, że Jewdokimow przedewszystkiem własne myśli narzucać potrafi. W chwilach, gdy mówił jej rzeczy uprzejme, głosem miękkim, falującym, rzeczy, pełne skrywanego, jakoby, uwielbienia, Wanda odnajdywała nagle w głowie swojej jakiś obraz stosowanego do siebie okrucieństwa i doszła do przekonania, że to wyobrażenia prokuratora obrazy te tworzy, nie wiedziała tylko, czy ten czarnoksiężnik kancelarii moskiewskiej widzenia te narzuca jej świadomie, czy bezwiednie, rozmyślnie, czy mimowoli...

Długie, codzienne rozmowy wytworzyły między nimi szczególny rodzaj zbliżenia. Znali się i wyczuwali doskonale. Rozumieli się bez słów. Nauczyl się cenić nawzajem swoje siły. I pociągani jakimiś, w głębokich pokładach dusz leżącymi odpowiednikami, pochylali się ku sobie, wiedzeni ciekawością, nienawiścią... sympatją.

Podczas długich posiedzeń wytwarzały się między nimi jakieś niewidzialne prądy... coś drgało... falowało... przenosiło się od mózgu do mózgu, od jednego systemu nerwowego do drugiego.

Im dalej, tem większy niepokój ogarniał Wandę. Wiedziała, że dusza tego człowieka, to otchłań pełna okropności i zdawała sobie sprawę, że pociąga ją obłądna ciekawość otchłani i nie tylko ciekawość — nienawiść i nie tylko nienawiść — popęd!

Pewnego razu, na pożegnanie prokurator ujął nagle obie jej ręce powyżej dłoni i ścisnął tak mocno, że krzyk bólu wyrwał z jej piersi. Nieco zmieszany tym krzykiem, puścił ją... Wanda uciekła z kancelarii, nie czekając na klucznika.

Sine znaki na rękach przypominały jej potem długo tę scenę.

Pewnego dnia powiedziała jej konfidencjonalnie jedna z dozorczyń: prokurator kocha się w pani, ale niech się pani strzeż! Straszne to kochanie!

Wszystko to znieważało ją! hańbiło! A najstraszniejszym było to, że

ten Moskal potrafił budzić [w niej osobliwe wzruszenia, poczynające się w sferze fizycznej, w sferze płci, ale przenoszone od razu na cały system nerwowy, bijące do twarzy falą krwi, do zmysłów przecuciem strasliwej rozkoszy.

Wypróbowaną metodą oddziaływania podrażnił Jewdokimow zmysłowo-marzeniowe ośrodki systemu nerwowego kobiety, śpiące dotąd cicho w dziewiczym ciebie. Wypełnił sobą pustkę celi. Wanda musiała myśleć wciąż o nim. Przeżywała powtórnie każdy jego gest, wnikał w głąb spojrzenia, enigmatyczne wyrazy twarzy, chorobliwe i niepokojące skurcze oblicza i ten uścisk bolesny, który falą ognia rozlał się po całym jej organizmie. Uświadomiła sobie w upokorzeniu i zawstydzaniu bezgranicznym, że każdego, nowego z nim spotkania oczekuje z obawą, niepokojem, wstrętem a jednocześnie z rodzajem przyjemnego podrażnienia. W tej „przyjemności“ było coś nad wyraz obrzydłego dla jej wyższych pierwiastków psychicznych, ale elementy niższe, te zbudzone niedawno, nieznanne jej dotąd, bo przytłoczone, jako próchno puszczu ljanami idei, obowiązków, poświęceń, uniestwione niemal wytężoną pracą codzienną, wysuszone wichurą entuzjasmów ognistych, ekstaz górnych i nadzmysłowych — teraz wstały z podświadomości i żądały dla siebie żeru. Znajdowały go w jego myślach, co krążyły tu upornie, ślizgały się po białości ud, sięgały, nie-

całowanych przez nikogo piersi. W tej celi więziennej był on ciągle obecny, jak manja, jak opętanie! I gdy siły psychiczne wyższego rzędu trzymały jeszcze Wandę na poziomie tego, co uważała dotąd za linię swego charakteru i nie pozwalały jej na żadne ustępstwa, te drugie wołały wprost o poniżenie o poddanie się falom nieznaney, bolesnej rozkoszy, którą obiecywały snujące się dokoła jego myśli.

Chwilami wyłamywała się z pod obrzydłego czaru i wtedy stawała przed nią wyraźnie, zimna myśl samobójstwa.

... Zabiję! Zabiję go w sobie!...

Artysta — uwodziciel zdawał sobie doskonale sprawę z wrażenia, jakie wywierał.

Wiedział, że jeszcze chwilę grając tę samą melodię, jeszcze o ton podnosząc ją wyżej, mógłby dziewczynę tę mieć... całkiem dobrowolnie.. oczywiście! mógł zostać jej kochankiem!

Ale czy ona wyznałaby cokolwiek więcej kochankowi?...

Mógł ją mieć na jedną chwilę, na jedną godzinę, na jedną noc... a potem?...

Ha! potem — śmierć!

Ona musiałaby się zabić... To jasne.

Chwilę zamyślił się nad takim zakończeniem... pociągało go...

Powstrzymywała go jednak myśl, że tajemnicę swoją zabrałaby z tego świata.

Tak, ona nawet w uścisku miłosnym... nie powie!...

Oto poświęcił jej tyle wysiłków, roztoczył tyle elementów osobistego czaru, tak dużo sił psychicznych wło-

żył w tę sprawę, tak daleko zaszedł sam... a w badaniu jej właściwie nie posunął się naprzód ani krok...

... O politycznej jej działalności wiedział tyle, co pierwszego dnia.

Postanowił inaczej zagrać na nerwach oskarżonej...

Od zwierzeń sentymentalnych, podstępnych oddziaływań na wyobraźnię i zmysły, od próśb gorących, przechodził zaczął do coraz zimniejszych, i okrutniejszych pogroźek.

Pewnego razu podniósł głos, zapowiedział, że nie będzie odtąd robił z nią ceremonij, że potraktuje ją, jak dziewczkę publiczną! ... pienieł się, walił pięścią w stół, tupał nogami i nagle, dostrzegłszy, że wszystko to robi na niej daleko słabsze wrażenie, niż stosowane dotychczas metody, uspokoił się w jednej chwili, ochłonił i w odpowiedzi na jej lekko ironiczny uśmiech, zawołał na klucznicę i wskazawszy jej podsądną:

— Na pięć dni i nocy, do ciemnicy! O chlebie i wodzie! — rozkazał.

* * *

Trzeciej nocy kazał ją sobie wywołać z „ciemnej“.

Przyszła blada, drżąca z zimna i nieukrywająca tego, że drży. W świetle zapalonych w kancelarji świec, na twarz jej wystąpiły zielonawe plamy. Usta były spalone gorączką...

— I czemu pani zmusza mnie do takich rzeczy?! — napadł na nią z miejsca prokurator.

Patrzyła mu hardo w oczy i milczała.

— I czemu pani jest taka?! taka kamienna! taka niewzruszona! Czemu w pani niema ani krzty kobiecości?!

Biegał niespokojnie po kancelarji, nagle przystanął przed nią i zniżając głos, spytał.

— Pani się tej czarnej nocy nie boi?!... ja bym się bał! jabym się strasznie bał!...

Poblądł. Z oczu wyrzwał mu obłęd i męka.

A Wanda uczuła zaraz, że go zwycięża, że jest w tej chwili silniejszą od niego.

— A ja się nie boję! Nie boję się ciemności, nie boję się was! Nie boję się śmierci! Proszę mnie natychmiast odprowadzić do ciemnicy! I w ciemnościach jest Bóg!...

Patrzył na nią, jakby przerażony, potem zaczął się śmiać cicho, obłędnie...

Świece przygasały... po brudnych ścianach kancelarji łąziły cienie... prokurator się śmiał... Wreszcie zawołał strażnika i kazał ją odprowadzić z powrotem.

I zgnili, cuchnący barłóg i wielogodzinna noc ciemności i głód i zimno stać się mogą lekarstwem dla duszy.

* * *

Wanda odepchnęła wodę i chleb, nie przyjęła i gorącej herbaty, którą zamiast wody przyniósł jej w dzbanku miłosierny klucznik. Chciała okazać, że jej nie złamano; chciała wypróbować swoją wolę, chciała się zmóc i oczyścić. Wyszła z wilgotnego, zimnego lochu z zapaleniem opłucnej, ale zbyła się plugawej choroby duszy. Pobyt w szpitalu więziennym uwolnił ją na dłuższy czas od wizyt prokuratora i wydobył z pod upiornej jego władzy. (c. d. n).

MARJA WOŁKOŃSKA i TERESA CONFALONIERI

(1824 — 1826)

W wielkim pustym pałacu, w wielkim pustym łożu małżeńskim umarła „ze spokojem duszy sprawiedliwej, która idzie odebrać palmę życia cierpiącego i pełnego boleści, umarła, polecając ostatnim błyskiem myśli braciom, kłęczącym u jej wezglowia, swego „najukochańszego i najniezszczęśliwszego“ Federiga.

„Powiesz mu—pisała w ostatnim liście do brata Kamila — że jedyną boleścią, której doznaję, odchodząc z tego świata, jest to, że go zostawiam w niewoli. Powiesz mu, że miłość dla niego poniosę i poza grób i jeśli Bóg mię przyjmie do miejsca zbawienia, nie przestanę zanosić błagań o jego wyzwolenie.“

Na grobie jej wryto napis, który ułożył Manzoni.

TERESA

urodzona z Gaspara Casati i Marji Orrigoni
18 września 1787

poślubiona Federigowi Confalonieri 14 października 1806
zdobiła skromnie dom jego w dniach szczęśliwych
w nieszczęściu wspomagała czynem i współczuła duszą
o ile czynom i duszy ludzkiej dopomóc i współczuć jest
danem

bólem strawiona lecz niezwyknięta
zmarła kładąc nadzieję w Panu utrapionych
26 sierpnia 1830

GABRIO ANGELO CAMILLO CASATI
siostrze najmilszej i najukochańszej
wzniesli i dla się przysposobili ten grobowiec
aby spoczywać kiedyś obok kości
czcigodnych i drogich,

Zegnaj tymczasem duszo mężna i słodka
my modły tu za ciebie zanosząc i ofiary
ufamy że przyjęta do wiecznej światłości
pojmujesz teraz jasno zlemianom skryte
tajniki miłosierdzia w dopustach bożych.

W pół roku później dyrektor więzienia w Spielbergu, kapitan Dickman, kazał przyprowadzić do swojej kancelarji aresztanta z celi Nr. 7.

Długo czekał Confalonieri u drzwi, zanim kapitan podniósł głowę z nad swoich papierów i rzekł urzędowym tonem:

„J. C. Mość polecił łaskawie oznajmić, że żona pańska umarła“.

I nie dodawszy ani jednego ludzkiego słowa, skinął, aby więźnia odprowadzono z powrotem do kaźni, gdzie pustka i ciemność zwarły się beznadziejnie już nad głową nieszczęśliwego człowieka.

Spielberg pustoszał powoli. Wyszli, jak dwa cienie męczeńskie, Pellico i Maroncelli. Wyszli Andryane, zagrożony ślepotą i ułaskawiony na prośbę osobistą arcybiskupa Paryża, potem inni, jedni na swobodę, drudzy na cmentarzyk forteczny do bezimiennego, wspólnego ze złoczyńcami, dołu. Confalonieri trwał, zagrożony w głuchem odrętwieniu, które „jedynym jest ratunkiem dla tego, komu wszelkie szczęście umarło“.

„Gdyby nie wiara, nie nadzieja połączenia się z ubóstwianą istotą, byłbym oddawna położył kres tej okropnej egzystencji — wyznaje — ze śmiercią Teresy skończyło się moje życie“.

Pozostał mu tylko żywiołowy, z każdym rokiem rosnący wstręt do swojej kaźni, gdzie zda się wszystko, nawet on sam, pleśnią obrastał i równie żywiołowa tęsknota ziębniętego ciała do słońca, nigdy nie oglądanego.

Razu pewnego wyrwało go ze zwykłej letargicznej drzemki pukanie sąsiada. Był to nowy przybysz. Gabriel Rosa, młody, energiczny człowiek, skazany z kilkunastu innymi Włochami za udział w związku „Młodej Italji“.

Rozmawiali ze sobą długo w noc, uczepiwszy się krat. Straż była względna, pewnie Węgrzy lub Polacy. Rosa cieszył się że jest tak blisko, de auditu non de visu, człowieka, czczonego od lat dziecinnych, jak symbol cierpienia za ideę.

„Co we Włoszech?“ — pytał Confalonieri.

„Dobrze, dlatego właśnie, że bardzo źle“ — odparł Rosa. Walka trwa. Prześladowania budzą gniew i hart w szerokich masach. Męczeństwo Spielbergu, opowiedziane w prostych słowach przez Pellicca, zaszkodziło Austrii więcej, niż przegrana bitwa. Na tej łagodnej książeczce nauczył się nienawisć on, który ich wszystkich podzielnym szlakiem walki wiedzie: Mazzini.

I zaczął mówić — a głos jego brzmiał, jak muzyka — rzewne słowa, które napisał mistrz, gdy zgasła, czczona, jak święta odradzającej się Italji: la sublime donna Teresa.

„Jak kwiat spalony żarem, nieustającą myśli udręką okrutnie zabita...“

Warta zmieniła się. Uderzenia kolbami we drzwi przerwały rozmowę. Confalonieri osunął się na tapczan. Chore serce biło, jak młotem.

A więc kiedy on, szermierz zwyciężony, zmagął się w samotności ze swą rozpaczą, już tylko o dostojność ludzką walcząc, tam w ojczyźnie szedł dalej bój i dla tych walczących w imię go, jak i imię Teresy było legendą, obrazkiem świętym w aureoli męczeńskiej, więc — było hasłem do walki.

Brzęk jego wiecznych kajdan ploszył sen z oczu wrażliwych chłopców, a oto jeden z nich staje się tem, czem on — och, jak dawno, już —

mniemał, że będzie; przywódcą narodu. Czy do jasnej przyszłości go powiedzie, czy do nowej, okropniejszej jeszcze, klęski?

Był tak znudzony, że nie miał już siły ani boleć ani radować się. Niech Bóg błogosławi żyjącym! On, w mrocznej swojej norze, był umarły i pogrzebany tak, jak Teresa, śpiąca w białym swoim sarkofagu.

I znowu płynęły dni, miesiące i lata.

Aż raz rozkołysały się dzwony Berna niezwykle żalonym przeciągłym tonem.

Umarł cesarz Franciszek.

„Dies irae, é morto checco!“ zawtórował im mściwy rytm poety, który chciał „nienawiść włożyć między sakramenty“.

Dzisiaj na sądzie boskim płaci
Polskie i włoskie iży.*)

Za kilka miesięcy nowy cesarz, Ferdynand I, ogłosił amnestję.

Spielberskim więźniom proponowano zamianę kary na wieczystą banicję z kraju: deportację do Ameryki.

Goryczą była zaprawna łaska nowego pana. Jak chore zwierzę, cofające się w głąb klatki, gdy mu ją nagle otworzą, Confalonieri zawałał się. Nie miał już siły do życia, tułaczki, gły tam za bramą więzienia nie czekała na niego ta, któraby z nim poszła i na koniec świata.

„Rany zabliznione zaczęły krwawić i nie wiem, czy w mojem ciężkim życiu był dzień równie ciężki, jak dzień mego powrotu do świata“.

Przybiegli, siostry zleceń pamiętni, Camillo i Angelo Casati. Zastali Federiga jeszcze w kajdanach, jeszcze w tragicznie śmiesznym ubiorze skazańca. „Teresie serce byłoby pękło na ten widok“. Młodzi ludzie z trudnością poznali świetnego szwagra w tym wychudłym, białowłosym człowieku, które nu wzruszenie głos zaparło w piersiach. Z młodej dobrej twarzy Kamila patrzyły nań serdecznie wielkie, czarne oczy: oczy Teresy. oczy ich zmarłego dzieciątka. Położył głowę na ramieniu młodzieńca i zapłakał. Bezradni stali bracia, nie wiedząc, jak powstrzymać ten potok łez. Ucałowali z nieśmiałą czułością więźnia i prosili, w imię Teresy, aby dał się wyprowadzić z tych przeklętych murów.

Nieboszczka spokoju nie zagna i w raju, dopóki on tu męczyć się będzie.

„Ona to, eroica Donna, wywiodła cię, przez swoje modły, z tej gospody utrapień i bólu — pisał Silvio Pellico, witając radośnie, jak zmarłych wstałego uwielbianego przyjaciela.“

„Ona doprowadzi cię kiedyś i do wrót kochanej ojczyzny!“

*) Giuseppe Giusti: Dies irae.

XII

Długo jeszcze tułał się wygnaniec, nieuleczalną trawiony tęsknotą, „obcy światu, jego sprawom i radościom, jak cień umarłego, jak upiór...“

Do ostatka zęcała się nad nim zawziętość, złość, fałszywość i głupota Austrii, która, wyprawiając przez ocean w burzliwy listopad, na najlichszym z lichych żaglowcu, chorego, półżywego człowieka, raczej niż do Nowego, do lepszego świata wysłać go chciała“.

Za to na wolnej amerykańskiej ziemi przyjęto „męczennika za prawa ludzkości“, jak triumfatora.

„Ostatni akt „ponurego dramatu“ kończył się apoteozą. „Cóż, kiedy brakło tej, która była jego istotną i prawdziwą heroiną i, niestety, oliwą wybraną i niewinną“.

„Dlaczego Opatrzność musiała uderzyć ją, a oszczędzić mnie, pień suchy i bezpłodny?“ — oto pytanie, które wciąż powraca na usta wdowca. „Dlaczego nie było danem mojej Męczennicy doczekać dni osłody, która bez niej w gorycz się dla mnie zmienia?“

Bracia Teresy oddali mu majątek, który jej niegdyś zostawił, pomnożony nawet o jej posagowe dobra, dzięki temu mógł przynajmniej z najsubtelniejszą troskliwością zapewnić los spokojny swoim dawnym towarzyszom niedoli.

„Wszystkie dobra materialne zostały mi wrócone, mój Aleksandrze — pisze do Andryane'a — mam dostatki, nawet zbytek, nawet przepych, opływam w książki, zaszczytów i błyskotek aż za wiele na mnie spada. Zdrowie moje, choć srodze nadszarpane, może się jeszcze poprawić. A z tem wszystkim, twój przyjaciel jest najnędzniejszym z ludzi. Nie umiem żyć...“

Wraca do Europy, aby bodaj zbliżyć się do granic ojczyzny i tego grobu, w którym prosi, aby „litość braci zostawiła miejsce i dla jego udręczonych kości.“ Ledwie spoczął u ogniska przyjaciela Andryane'a, wypędza go z Francji tchórzostwo rządu. I w Szwajcarii Austrija nie pozwoli mu przebywać. Błąka się „biedny, stary Don Kichot, pozbawiony nawet Sancho Pansy.“ Powoli goją się rany ciała. „Głęboko tak samo można duszę uleczyć! Ale tej rany, wiecznie krwawiącej, nawet Opatrzność zagoić nie zdoła!“

Jedynym balsamem dla jego serca to wspomnienia o tej „Świętej, co dla niego umarła. Twardy los zmusza nieszczęśliwego małżonka po obcych zbierać domach wspomnienia najbardziej poufne owych lat niewypowiedzianego męczeństwa tej, co umierała samotna, podczas gdy on, żywcem zakopany, nie wiedział o niczem, prócz o swojej tęsknocie...“

Chciałby, wraz z bratem Gabrielem, z okrucichów owych wnieść pomnik wiecznej chwały dla „Wielkiej i Najlepszej“, tak jak marzy o wspa-





36



737

niałem mauzoleum na jej grobie „nie dla próżnej pompy, lecz dla uczczenia tej wielkiej miłości, niestety, tak źle przez niego na tym świecie odpłaconej“.

Gdy jednak wyjdą z druku pamiętniki Andryane'a, poświęcone cieniem Teresy, będące entuzjastyczną apoteozą ich obojga, sprawią mu nie radość, lecz ból.

„Są rzeczy święte i czcigodne, o których mówić głośno jest profanacją. Zdaje mi się, że moje najboleśniej rany zostały obnażone przed okiem obojętnych“.

Confalonieri miał za dużo subtelności i dobrego smaku, aby nie odczuć ckliwości apologji, malującego go, jako ideał cnotliwego małżonka, podczas gdy on, może we zbyt neura-stenicznem przeczuleniu, gorzkimi wyrzutami truc się nie przestawał.

Piszą nawet w raportach swoich austriacy konfidenci policyjni, szpiegujący wszędzie, „hrabiego męczennika“, jak go ze wstrętną ironją nazywają, „Co go najbardziej dręczy, to myśl o śmierci żony, której sądzi się być przyczyną. Dawny konspirator stał się anachoretą.“

A jednak czar, który dawniej hrabia Federigo wywierał na serca kobiece, działał jeszcze i dziś. „Old gentleman, taki łagodny i poważny, taki dystygowany, który tak wiele cierpiał, a nigdy nie mówił o swoich cierpieniach“ zyskał liczne wielbicielki już wśród Amerykanek. Jedna z nich nawet, miss Mary Seldwich, przybywszy do Europy, podbiła sobie serce dobrego Silvia Pellico entuzjazmem, z jakim mówiła o wspólnym przyjacielu.

„Wiesz, mój bracie najmilszy — pisał — że ja do twojej Teresy modłę się, jak do świętej, i wierzę, że nią jest, że z góry czuwa nad nami. Może to ona chce ci zesłać tę anielską istotę na osłodę twoich wygnanych dni?“

Towarzyszką wygnanca stała się jednak nie „anielska Marynia“, ale również sympatyczna, niezbyt już młoda Irlandka, panna Zofja O'Ferral. Stropili się niespodziewaną wieścią o małżeństwie Confalonieriego wielbicieli legendarnej już, tragicznej pary, i niejeden spytał ze smutkiem, jak hr. Porro: A Teresa?

„Zofja ujął mnie właśnie gorącym swem uwielbieniem dla mojej anielskiej Teresy — spowiada się Confalonieri dawnemu towarzyszowi więzienia, Maroncellemu.

„W chwili zaręczyn wsunąłem jej na rękę bransoletkę z włosów Teresy, którą ona czci jak relikwię. Tobie, przyjacielu, nie potrzebuję tłumaczyć tajemnicy bólu i miłości, związku między przeszłością i terażniejszością, które ten prosty obrządek zawarł w sobie.“

Podobno Zofja cierpiała skrycie nad tem, że w spopielałem sercu uczucia żywszego nad wdzięczność

obudzić nie zdołała. Jednakże obo-wiązek przyjęty na siebie spełniła wiernie, była smutnemu, choremu, gasnącemu człowiekowi, lektorką, sekretarką i infirmierką aż do końca. Dotrzymała obietnicy, że zwłoki jego złoży obok Teresy i, nie wziąwszy nic z jego majątku, odeszła jak przyszła w cień.

Z widmem Teresy walczyć nie chciała i nie była w stanie. W cztery lata od swego powtórnego małżeństwa w r. 1844 Confalonieri pisze do Mompianiego, pamiętając, jak ten nieboszczkę uwielbiał: „Dziś 38 rocznica mojego ślubu z Teresą, jutro jej imieniny, dzień tak świąteczny niegdyś, dziś tak opłakany. Ileż wspomnień dla serca, jaki ból!“

Amnestja ogólna otworzy wy-gnańcom granicę ojczyzny; Confalonieri wraca, bo chce pożegnać umierającego ojca, ale ciężko mu żyć wśród białych mundurów austriackich i wspomnień, szarpiących w duszy struny bolesne.

Znowu dąży na południe: do Algieru, Palestyny, Egiptu, Tunisu. Niegdyś żóraw wędrowny, dziś „biedne ptaszysko, oskubane z piór, z połamanymi w klatce skrzydłami“ szuka tylko ciepła i słońca dla schorzałych członków, które tyle lat marzyły w kazamatach.

Woła na niego z oddali głos, który niegdyś snił mu się w mroku Spielbergskiej kaźni, głos Mazziniego: „Ludzie, jak pan, powołani są, aby nie tylko cierpieć, ale i działać dla Italji“...

Cóż kiedy znużone ciało już nie słucha duszy, a i duszy strutej latami bólu trudno w jutrznię uwierzyć.

A jednak te zagasłe oczy rozpłomieniają się, widząc przedziwną zjawę: białą postać Piusa IX, ze stolicy apostołskiej błogosławiącą Italji.

„O dni święte, dni zmartwychpowstania“, brzmiały w uszach Federiga zapomniane od ćwierć wieku wiersze Manzoni, pisane w marcu 1821 na wieść o rewolucji w Piemontcie. Przeczytali je z Teresą, głowa przy głowie, nauczycieli się na pamięć i, na życzenie ostrożnego poety, rzucili kartki w ogień. Dziś, podobnie jak tamtej wiosny, dochodziły wieści o dreszczach, wstrząsających italski półwysep od Alp aż do morza. Czyż dawny sen miał się sprawdzić? Czyż to był sens zmarnowanego życia ich obojga?

Jakże godzin jest pożalowania,
Kto zdaleka, niby cudzoziemiec,
O dniach onych usłyszy...

„Bardziej do cienia, niż do człowieka podobny“, mimo sprzeciwu lekarzy i trwogi Zofji, Confalonieri spieszył przez śniegi alpejskich przełęczy do stojącego w przededniu rewolucji Medjolanu, jak gdyby ostat-

nim tchem goniący pielgrzym do ziemi obiecanej.

Kiedy w setną rocznicę wypędzenia Austriaków z Genui rozgorzał cały półwysep ogniami, rozpalonemi na szczytach wszystkich gór „jak jeden wulkan wolności“, na szwajcarskiej małej stacyjce, około przełęczy św. Gotarda w Hospental, dogorywał, atakiem sercowym powalony, Federigo Confalonieri. Zrywał się jeszcze do drogi, mówił, że musi tyle ważnych rzeczy Gabrijelowi Casati powiedzieć, że musi dotrzeć do rodzinnego miasta i tam dopiero rzec: hic requies mea.

Kazał zaprzęgać konie, wstał ostatnim wysiłkiem i na progu izby padł martwy.

Pogrzeb jego zmienił się w wielką patriotyczną manifestację ludności medjolańskiej, wrzącej coraz to gorętszą nienawiścią przeciw panowaniu „barbarzyńców“.

„Trumna Confalonieriego była pierwszą barykadą, rzuconą pod nogi Austriji“.

Wśród bicia dzwonów, między kirem okrytymi pałacami, szedł ogromny kondukt żałobny do kościoła San Fedele.

Władze nie dozwoliły „umieścić na frontonie świątyni napisu, który ułożył Manzoni:

„To serce, którego nie zdławił mur więzienny, rozsądzi kiedyś i grobowca ściany“.

Ale usta obecnych powtarzały je szeptem. A kiedy Gabrijel Casati, wówczas już burmistrz Medjolanu, wywołał cień Teresy, którą tyle razy widziano tu, w tym kościele, klęczącą w żałobie, a która dziś w radości niebiańskiej wita na progu wieczności najdroższą duszę, — tłum rozsłochał się wielkim płaczem. Pod nienawistnymi sztyletami tysiąca oczu cofnął się z kościoła komisarz Bolza, który przyszedł strzec umarłego, tak jak niegdyś żywego.

W powietrzu pachniało burzą.

Szły, w niepowstrzymanym pędzie zdarzeń, cudowne dni marcowe „cinque giornate“ Medjolanu, kiedy dzwony oszalałe były przez pięć dni i nocy, dopóki nie wypędzono z miasta Austriaków co do nogi. Na barykadach walczył obok wielkiego pana i artysty, wyrobnik i rzemieślnik. Motłoch stał się narodem.

Wstawała, w kształt realny się przyoblekająca, „szalona fantasmagorja“ wolnej i zjednoczonej Ojczyzny. A tworzyła ją nie tylko krew przelana w boju, lecz i więźniów męstwo samotne, i wygnanców gorzka tęsknota i cicha ofiara serc, tak wiernych i mężnych, jak „bólem strawione, a niezwyciężone“ serce pani Teresy.

(Koniec).

K. Bielańska

Z CYKLU SYLWETEK

MARJA JEHANNE WIELOPOLSKA

Najkapryśniejsza polska autorka. Pisze, kiedy chce, a rzadko chce. Tylko gdy coś nią targnie, wywoła bunt nagły, konieczność reakcji na jakąś krzywdę społeczną (niekiedy — w wyjątkowych razach — i osobistą), gdy rozkrzyczy się w niej protest przeciw konwencjonalnym kłamstwom, lub wyrafinowanej złośliwości urzędowej krytyki, przeciw obłudzie partyjnej, przeciw nagance na bohaterów i pomniejszaniu olbrzymów — przeciw temu wszystkiemu, co z dnia na dzień, z godziny na godzinę przewala się falą małodusznego jazgotu, lub rozlewa kałużą błota, w którym grzęźnie tłum — chwyci za pióro. Odruch urodzonej polemistki (miała lat 14, gdy pierwszy raz stanęła z papierem) pędzi ją na plac boju. Niema ci orobry, smutku, troski rodzinnej, niema nieszczęścia, któreby w takiej chwili wytrąciło broń z jej ręki. Walczy do upadłego ta najbardziej cięta, najbardziej złośliwa i — najdowcipniejsza pisarka polska.

Inna od Magdaleny Samozwaniec, bo atakująca wprost, bez osłon, bez podstawień i alegorii, arbitralnie, zuchwale, nie premedytując cięć i uderzeń. Na to nie ma czasu. Pęli się nad nią, w niej, pod nią. Gna żagiew odporno-zaczepną, pędzi płomień rycerza własnej otępiłości, gotowego bić się do zatracenia, na oślep — w paszczy huraganu. Nie przebaczy nikomu, nie poda ręki do paktu, nie wypuści z rąk gardy, chyba — gdy przeciwnik, sam cofnie się z placówki, wystrzeżliwszy wszystkie naboje.

Ktoby w tej nieustraszonej amazonce poznał autorkę wysoce przemyślanych, do najdrobniejszego szczegółu opracowanych, głęboką erudycją przepojonych studjów, impresyj, obrazów historycznych i niehistorycznych?

Pisze, jak malował Gustaw Moreau¹⁾. Najpierw potężny, olbrzymi, pełen hardej mocy szkic na kartonie. Sylwety stopniowo maleją, aż dochodzą do rozmiarów prawie minjatur, w których jednak tak misternie ujęty każdy szczegół — ściśle według danej epoki — perła naszyjnika, rękojeść miecza, godło tarczy, że zdumiewa ich wyrazistość.

W umyśle Wielopolskiej też powstaje zrazu zapewne hardy, wielki obraz, który w miarę tworzenia staje się minjaturą, pełną subtelnych drobiazgów, głęboko przemyślanych, na ściśle uzasadnionem, historycznym i naukowym podłożu opartych.

Jak u Teofila Gauthier, Gustawa Flaubert'a, Anatola France'a.

Skrócone obrazy Moreau'a nie pomniejszają siły expressji. I u Wie-

lopolskiej każdy szkic bucha tęgą, twardą mocą. Styl jędrny broni się od sentymentalizmu. Gdy tyle poetycznych wzlotów obudził dzieciół, przyczyna w sznaragdowym zagajniku, Wielopolska mówi o nim, iż „kuka, jakby niezliczoną ilość ćwieków ktoś wbijał w niewidzialne truchła.” (Femina str. 66). Czasami jak mgiełka, zarysuje się jakiś tkliwy obraz, ale wnet znika, przelękłszy się sam siebie.

Cała siła, cały decydujący rzut słowa i myśli, skupia się w ostatnich kartach, nieiedy w ostatnich wyrazach — „poincie” utworu powieściowego. I tu — z za cyzelowanych szczegółów twórczej architektoniki, wyblęśta znowu amazonka-polemistka. Każdy szpic, sylwea, impressja, obraz historyczny i niehistoryczny, kończy się jakimś zuchwałem spoliczkowaniem konwencjonalnej obłudy, hardem napiętnowaniem kłamstwa i fałszu, groźnym krzykiem nie pomszczonej krzywdy, jaskrawym paradoksem tolerowanych konwenansów.

Niekiedy, niekiedy, przychodzą chwile omdleń. Wysuwa się tęsknota, która szuka ukojenia w widmowym omamie i znaleźć nie może i zatracić siebie nie umie i rwie się szlochem, od którego pęka serce z kamienia (Kontryfałowe Lichtarze).

Ale to rzadko, bardzo rzadko.

Ostatnia książka Wielopolskiej, wydana ponoć tylko w 25 egzemplarzach — bo tak się podobało kapryśnej autorce — wraca do twardego, bezlitosnego skalpela, który nie oszczędza ani jednej prawdy średniowiecza.

„Femina” — obraz duszy kobiecej, wiecznie głodnej miłości i wieczne ofiarnej, nawet wówczas, gdy spełnia się nad nią najszerszy akt okrucieństwa, jakie wyrafinowany intelekt ludzki wymyśleć może i gdy tego aktu dokonywa on — ukochany fanatyk nauki, broni go storturowana, umęczona kobiecość. Bronią zgasłe oczy i głos filigranowy, łamiący się „drzazgami jęku”. Bronią okaleczone ręce, „złożone jak dwie białe lilje wodne na płani chmurnego jeziora”... A gdy ukochany zrozumiał istotę obrony i w dziecinny zachwycie wyciągnął ramiona ku nikłym szczątkom kobiety — piorun czarownego uśmiechu pada na promienne usta truchła ludzkiego. Sędzia — inkwizytor, w nieokreślonym geście podziwu i ironji,

rzuca wówczas cieńkamiemi jak nóż wargami „Femina”...

Do tego jednego momentu dążyła cała opowieść poprzez ponure obrazy strasznych dokonań średniowiecza.

Książka, którą Wielopolska ma²⁾ wydać w krótkce, obejmuje cykl obrazów ze świata zwierzęcego, tej jedynej prawdy życia, nieskalanej kompromisem, kazuistyką, oportunizmem.

Nad wszystko ukochała autorka „Feminy” tych swoich Barsojów, kotki „Samowarki”, tajemnicze, jak przepływ i odływ morza z twarzami córek Faraonów i harde, nieprzystępne jastrzębice. Żadne z tych stworzeń nie zdradziło jej. Od żadnego nie doznała krzywdy.

A ludzie?...

* * *

Dwie tylko powieści napisała dotychczas Wielopolska: Faunessy i Kryjaki. Kryjaki, to koniec powstania styczniowego. Bohater: ksiądz Brzózka. Było to jakby w przecuciu chwil, które przyjść miały — walki o wyzwolenie — ostatniej — hasło do niej — głośny, wielki dzwon — a po nim — już tylko czyn.

Wielopolska stanęła w rzędzie najgorętszych rzeczników legjonowej idei. Od roku 1913 poczyniła, aż po dni ostatnie, ani na chwilę nie zesłała ze straży jej, agitując, odpierając ataki zjadliwe, prostując błędy opinii. Przeżyła w sobie każde posunięcie I Brygady. Razem wzbijała się na wyżyny i razem pędziła w otchłań nieszczęścia, wierna aż do końca. Cały rok w służbie sanitarnej, prowadzi następnie szwalnię dla żołnierzy im. Piłsudskiego, niesie doraźną, czynną pomoc legjonistom, za co przyznano odznaczenie pod postacią „Orlą” które nosi stale i z których jest dumna. Więziona, stawiona przed sąd doraźny ukraiński, cudem ocalona — ona i jej mąż — postanowiła zamknąć dzieje swoje wojenne i dzieje I-szej Brygady w pamiętniku: „W wielki wieczór”. Kilka rozdziałów już napisanych. Czy skończy całość?

Życie jej i praca plecie się dziwnie. Zaczęła od wielkich obyczajowo-historycznych opowieści w rodzaju Kraszewskiego, drukując je w krakowozachowawczych lwowskich i krakowskich dziennikach, po skończeniu 14 lat zaledwie. Później — nagły przełom — współpraca w Myśli Niepodległej Andrzeja Niemojewskiego — bój zaciętkły, nieugięty, szermierka, jakiej przed nią, ani po niej, nie podjęła żadna kobieta.

Mówią: Rachilde, amazonka z „Mercure de France” Ale tam

¹⁾ W Muzeum Gustawa Moreau w Paryżu można zapoznać się z dziejami twórczości każdego jego obrazu.

²⁾ wspólnie z Zofją Nałkowską z ilustr. Niny Aleksandrowicz.

wojna z grafomanją, półtalentami megalomanów, pozującymi na genjusze. To bój o hasła, idee, uprzywilejowania. Z literackich feljetonów przenosi się to u Wielopolskiej do powieści. W Kryjakach jest cały jeden rozdział polemiczny, który autorka w piątym wydaniu zamierza wyrzucić.

Jak z klerykalnych gazet skok nagły do Myśli Niepodległej, tak po opowieściach w rodzaju Kraszewskiego, naraz: Faunessy i Pani El. świat Riwiery, koronek przepychu, kobiet tańczących nago w neobudystycznych, pałacowych świątyniach dech międzynarodowy, rzut oka poza kordon prababek. Obrazy zwarte, styl mocny, jędrny, taki, jaki miał już zostać.

* * *

Ponad światem Riwiery, ponad wstrząsającymi dziejami księdza Brzóska — tym dzwonem na wyzwolenie Polski — ponad wichrami polemik, myśl krąży uparcie, nieustannie dookoła zagadnień religijnych. Niema teologa w Polsce, którego by nie zdumiała biegłość Wielopolskiej w dziedzinie spraw liturgicznych, w znajomości żywotów świętych i dziejów Kościoła. Mając lat 9, ułożyła misternie zredagowany plan nowej reguły klasztornej. I nie przestała odtąd ani na chwilę studjować spraw, zwią-

zanych z dziejami, istotą i celem zakonów poprzez wieki. Miała gotowy szkic powieści p. t. „Święci“, do których dała jej ilustrację księżna Gagarin-Stourdza, ale — jak tyle innych zamierzeń tej kapryśnej autorki zginęło to z powodu niezrealizowanych pomysłów.

Rodzą się one w niej, jak błyskawica, przeświecają mózg, wibrują w każdym nerwie, pobudzają wewnętrzne napięcia. Byle co je spłoszy. Uwaga, że coś podobnego, gdzieś, kiedyś — za czasów Tuthankamona — było i zostało na starym papyrusie. Że Wiergilusz, czy Hypatja zamierzali napisać to samo... Drze się szkic, pali gotowe rozdziały i nie wraca do tematu, który miesiącami rozpałał intelekt.

Najkapryśniejsza polska autorka, której nie zna żadna redakcja, bo wolałaby połamać pióra i ołówki, aniżeli chodzić z rękopisami po wydawcach. Ale za to namiętnie koresponduje z całym światem wielkich poetów, artystów, uczonych — swoich i obcych. Wojna zniszczyła zbiór cennych autografów Lombrosa, Masseneta, Haeckla, Stucka Micińskiego, T. T. Jeża... Została garstka za ledwie, ale i ta świadczy o skwapliwości, z jaką najgenjalniejsze umysły zwracają się ku najdowcipniejszej, najbardziej ciętej polskiej autorce.

A także — najobojętniejsza na złe sądy o sobie, zbiera skrętnie najzjadliwszą recenzję i gromadzi je w pięknie oprawnym albumie. Kiedyś dowiedzą się potomni, że wielki augur krytyki polskiej nazwał krwią i łzami pisanych Kryjaków, recytowanych na każdym obchodzie 63 r. w całej Polsce „pogodzeniem żywiołu flirtowego z tragedją styczniową“. Kiedyś się dowiedzą o grzechach „pretensjonalnych tytułów“ (Kontryfałowe Lichtarze) i o zbagatelizowaniu polemicznych sądów Wielopolskiej tylko dlatego, „że jest kobietą“... Ona sobie niewiele robi, ani z żyjących ani z potomnych.

* * *

Najkapryśniejsza, najzjadliwsza autorka! W życiu — najśłodsza pani domu.

Rachilde, idealną żoną, matką i babką nazwaną wojowniczą amazonką o miękkich dłoniach siostry cierpiących!

Wielopolska nie jest matką i babką, ale wojowniczość jej kończy się na progu ogniska domowego. Ciche, turkusowe oczy, dobre, kochane ręce zapewniają spokój bliskim, bliższym i najbliższym — ludziom ptakom, zwierzętom. C. Walowska

MIŁOŚĆ, KTÓRA NIGDY NIE UMIERA

Przed chwilą zamknęłam książkę, która mnie zrazu prawie rozśmieszyła, potem rozbroiła, wreszcie chwyciła za serce i podbiła zupełnie swoją niesłychaną prostotą. Książką tą jest zbiór nowel włoskich Pawła Heyse, objętych ogólnym tytułem „Wesele na Capri“.

Swoją metodę artystyczną streszcza autor w bezpretensjonalnych słowach archaizującego opowiadacza „Hafciarki z Treviso“.

— „Ja wciąż jeszcze stoję na przestarzałym stanowisku, że w każdej historii najważniejszą rzeczą jest — historia. Nie sama tylko forma lecz treść opowieści — historia. Lepiej, czy też nieco gorzej opowiedziana, o to mniej dbam. Jeśli to, co się rzeczywiście stało lub zostało przez jakiegoś fantastę wymyślone, wywiera na mnie wrażenie, to wcale mi nie zależy na stylistycznych tak zwanych subtelnościach... Hasłem obecnych opowiadaczy „historji“ jest i mało ciała, dużo sentymentu. Ale ja jestem zwolennikiem „niesentymentalnego średniowiecza“.

Autor w praktyce pozostaje wiernym swej teorii. Wypełnia co do

joty wszystkie punkty swego Credo. Może dlatego, że to wyznanie wiary, tak niesłychanie proste i naiwne, jak zresztą wszystkie wielkie prawdy, było może jedynie ostatecznym wysiłkiem i skromnym uwieńczeniem pracy całego życia.

W nowelach Heysego ciągle coś się dzieje, nie na niby, ale na prawdę, jak w życiu zwykłych ludzi, ludzi, nie podlegających czasom marzenia, tego największego wroga czynu.

Akcja toczy się u niego równo, nieubłaganie, jakby prowadzona ręką spokojną, mądrą, wszystkowiedzącą, ręką, która nie dąży nigdy, nigdy się nie waha, ręką, której obcy jest zachwyty i wzgarda, jak ręce przeznaczania.

Poza jedyną tytułową nowelą „Wesele na Capri“, która w tonie „buffo“ kreśli bolesną niewspółmierność życia i marzenia, tragikomiczny konflikt między artystą a lalką, orbita wszystkich jego opowiadań biegnie po elipsie. Niema w nich jednej osi, ale są dwa ogniska: miłość i śmierć.

Źródło życiowej energii i otchłani nicości. Dwie głębie, które się wzajemnie pochłaniają, likwidują, przekreślają! „Śmierć chroni od miłości, a miłość od śmierci“, powiedział gdzieś Lechoń.

Inaczej w Heysego. Miłość nie chroni u niego od śmierci, raczej do niej nieuchronnie prowadzi. Śmierć nie jest u niego ani karą, ani zemstą nad miłością, jest tylko najcudowniejszym rozwiązaniem, najszczytniejszym wzlotem uczucia tak wielkiego, że dwojga serc nie starczy, aby je objąć i zamknąć w sobie. Musi pękać na czynie śmiertelne, aby nieśmiertelny ptak miłości, jak feniks z popiołów uleciał w krainę, gdzie piękno nie umiera.

Stąd wyprowadzić można drugą antytezę. „Śmierć nie chroni od miłości“, raczej ją wyzwala z pęt ziemskich, oświeca, uduchowia i uwiecznia.

Ten, tak częsty u Heysego pocałunek, łączący usta umierających kochanków, nie jest bynajmniej konwencjonalnym efektem literackim. Można by go nazwać głęboką symboliką gestu, gdyby nie ewangeliczna prostota poety, wobec której opero-

wanie kategorjami literackimi wydaje się jakimś świętokradczem okrucieństwem.

Heyse nie sentymentalizuje swych bohaterów, nie roztkliwia się nad ich niedolą, nie stroi w maskę tragiczną ich głów zastygłych w epickim spokoju, a jednak wstrząsają nas one do głębi sofoklesowskim tragizmem serc, rozdartych na wieki.

Nie słowa mówią za nich, ale ich czyny, nie literatura, ale życie samo. Tylko tę ma wyższość twórczość Heysego nad życiem, że śmierć zawsze przychodzi u niego w porę. Buduje on losy swoich bohaterów wzwyż, wzorem lotnej greckiej kolumny, aby jej tren uwieńczyć cudnym kapitelem śmierci. Uwieńczyć właśnie w tym momencie, gdy wzniosłość załamałaby się w pospolitość, przeciągnięta struna zabrzmiaby fałszywie, zniszczony zostałby boski ład, zaćmiłaby się niezamącona pogoda piękna.

Wybrany pięknej hafciarki z Treviso ginie na turnieju w przeddzień zawarcia ślubów z niekochaną kobietą, z którą połączyć go ma tylko interes państwa, ginie szczęśliwy, unosząc w zaświaty pocałunek kochanki, której skryta dotąd miłość i poświęcenie wobec majestatu śmierci zatracą znamiona hańby i zmy-

tycznej, przeciwnie, otacza jej głowę aureolą wzniosłości i bohaterstwa.

Gdyby nie śmierć, natężająca strunę miłości w nieskończoność, ta struna musiałaby pęknąć lub zabrzmieć fałszywie. Czysty, wyeliminowany z pierwiastków przypadkowych promień miłości uległby załamaniu w pryzmacie życia, rozszczępiłby się na wież uczuć pochodnych, jak żal, rozczarowanie, gniew, chęć zemsty, zazdrość, nienawiść, których wzburzone fale pokryłyby zupełnie pierwotnie czystą toń, podobnie jak wichry zamąca głębie oceanu.

„Wiedźma z Korsa“ ginie z ręki odrażonego zalotnika właśnie w momencie, kiedy jej idealna miłość do szlachetnego „Arrigo“ albo przerozdziłaby się w pospolity romans, albo spowodowałaby cały szereg męczących konfliktów, wśród których miłość obojga stopniałaby, jak śnieg wiosenny. Przed tym uwiązaniem rozczarowania chroni ją śmierć, zakuwając w posągowe, niezniszczalne kształty to, co w życiu przeminąć albo spowszednieć musi.

Cóż czynią legendarni przyjaciele ze Sieny, Nino i Maso, gdy szatańskie żądze, rozniecone w ich sercach urokiem złej czarodziejki, stają naprzek ich świętej przyjaźni?

Mordują czarownicę, poczem z odwagą i pogodą idą na szafot, złączeni bratnim uściskiem i oddają głowy pod miecz katowski ze słowami.

— Idę za tobą, najdroższa i najwierniejsza duszo, czy to na wieczną mękę, czy na drogę łaski, gdyż bez ciebie nawet raj byłby dla mnie piekłem!

Śmierć, ten pierwiastek irracjonalny w życiu ludzkim, u Heysego nabiera charakteru konieczności estetycznej i praktycznej. Odgrywa rolę nie ślepego fatum, okrutnego kata lub litościwej wybawicielki, ale mądrego ogrodnika, który z wiecznie zielonego drzewa życia zdejmuje dojrzały owoc, miłości, nie czekając aż zgnije i zwiędnie, straci barwę i woń młodości.

I dlatego nowelom Heysego, wbrew czysto formalnym pozorom fabuły, obca jest metoda tragicznego rozstrzygnięcia problemów życiowych. Spokój, który z nich bije, daleki jest od martwoty grobu, ich pogoda jest pogodą szczytów, pełni uczuć, najwyższego osiągu ludzkich możliwości.

Śmierć jest tylko najdoskonalszym wykonawcą nakazów życia: z pęt materji, z poczwarki doczesności wyzwala ideę niezniszczalną i wieczną miłość, która nigdy nie umiera. *Stefanja Podhorska-Okolów*

O KINEMATOGRAFIE I DWÓCH POLSKICH O NIM KSIĄŻKACH

„W człowieku tkwi chęć oglądania rzeczy i spraw w oderwaniu od rzeczywistości... w tem jest jedno ze źródeł sztuki według“.

K. Irzykowski: Xa Muza.

Widowisko dziś najpopularniejsze, ściągające więcej ludzi, niż teatr i koncerty, — urosło już do znaczenia czynnika społecznego, spełniającego bardzo ważną rolę w wychowywaniu ludzkości dorastającej i dorosłej. *)

Z drugiej strony, rozwijający w szalonym tempie, a więc niemal z dnia na dzień, swe możliwości techniczne, kinematograf działa coraz bardziej własnymi środkami i nawet zapożyczając narzędzi od sztuk innych, przerabia je na tak swoje wartości, tak wyraźnie rośnie o bok malarstwa, rzeźby, muzyki, nie wypierając żadnej z tych sztuk, ani ich nie zastępując, że staje się nową dziedziną piękną, wzbogacającą nerwowe życie współczesne o jedną jeszcze rozkosz estetyczną.

Ze kino jest sztuką, że może dawać „rozkosz estetyczną“ — lwia

część publiczności nie wie, nie zdając sobie sprawy z istoty estetyki kina i z własnych, doznawanych tam wzruszeń.

Dzieje się tu zresztą to samo, co i w dziedzinie starszych, niewątpliwie poważnych i uznawanych sztuk.

Na czem polega istota piękna w malarstwie? Jakie są specyficzne wartości tej sztuki? Czego należy oczekiwać od rzeźby? Co stanowi o jej swoim pięknie?

Pytania te dla większości zwiedzających wystawy artystyczne nie istnieją. Pewne rzeczy podobają się im — i na tem koniec. Ludzi, w sposób prymitywnych odnoszących się do sztuk plastycznych, pociąga przeważnie ich treść.

Oczywiście więc i w kinie tłum leci przedewszystkiem na treść.

*) Sprawie kinematografów oraz wpływu niejednokrotnie zgubnego, który wywiera on na naszą młodzież i szerokie warstwy ludności miejskiej — poświęcimy miejsce w następnych Nr. „Bluszczu“.

Lecz, aby wyluskać coś określonego ze specyficznej emocjonalności, którą mieści w sobie kino — należy, zdaje mi się, sięgnąć do tajemnicy Nadziei i Rozczarowań, Oczekiwania i Zawodu.

Człowiek szuka w filmie dopełnienia własnej egzystencji, a raczej historii tej części siebie, która nie doszła do przewagi i nie wypowiedziała się życiowo. Utajone w nas „możliwości“, przedmiot ukrywanej i wstydlivej dumy, tam oto przyoblekają się w kształt bujnego rozkwitu; tam ośmielają się żyć. Bo wszak przeważnie żyjemy tylko częścią nas samych; pozwalamy sobie, lub pozwalają nam (ludzie, warunki, „życie“) tylko na uzewnętrznienie części siebie. Ta inna reszta, albo niekiedy bardzo poważna część naszego jestestwa, ujęta mocno w karby intelektu, który narzuca nam pewien ideał nas samych, wegetuje w poniewierce, wystrzelając jedynie w podświadomych aktach snu i odruchów, lub płatając niekiedy psoty i niespodzianki nam i naszemu otoczeniu.

Kino ponadto odpowiada jakiejś potrzebie ludzkiej zatopienia się w bajce, w fantazji, odejścia od rzeczywistości, przeżycia niesamowitych przygód, ujrzenia potężnego działania, potężnych namiętności, potężnej przyrody, — trudu, wysiłku, zwycięstwa.

Nie idzie o tezę w filmie. Zadawalnia on „ciekawość życia“, ma smak wspomnienia czytanych dawno książek, podobny jest do marzeń, które się snuło w dzieciństwie i do snów, które się miewa, gdy się jest dorosłym.

W mrocznej sali, wypełnionej tłumem widzów, śledzących z zaporą oddechem opowieść kinową, której wrażenie wzmacnia wsączająca się w nas — bez udziału świadomości naszej — muzyka, — dokonywa się szczególne misterjum silnego przeżywania i wzruszania się fikcją. To, że nie widzimy żywych, dotykalnych niejako postaci aktorów, to, że kino daje przeważnie obrazy czarno-białe (operując jedynie stopniowaniem światła), to, że nie słyszymy mowy ludzkiej — sprawia, iż czujemy się tam niejako wyrwanymi z czasu i przestrzeni.

Wizyjność przedstawienia kinematograficznego, jego częściowa tylko realność, odmaterjalizowanie jak-gdyby materji, tajemniczo rodzącej się i niknącej na płótnie ekranu, zwiewność i nietrwałość najbrutalniejszej „jawy“ kinowej, stanowią o swoistym powabie tej sztuki i są również źródłem specyficznie nowych wrażeń, które stopniowo ślad swój w psychice naszej pozostawiają.

Narkoza i suggestja filmu skierowały nań baczne i krytyczne oko moralizatorów i pedagogów społecznych.

Walka jednak ze „zgubnym“ wpływem kina i próby uczynienia z eń narzędzia uzdrowicielskiego dla ludzkości — nie zmieniają istoty wrażeń których dostarcza; te bowiem wpływają z jego specyficzności, tak jak specyficzni dla każdej sztuki są wrażenia, które wywiera bez względu na treść. — Moralizatorom chodzi o treść — przez nią bowiem trafia się do woli — wola zaś stwarza czyny. Lecz jest to już zagadnienie pozaestetyczne.

Tymczasem jednak, jeśli idzie o nasycenie duszy niezwykłością, o danie jej tęsknocie pokarmu wielkich namiętności, o wizje potęgi psychicznej i uczuciowej — większość filmów jeszcze zawodzi i działa jak prawdziwy narkotyk, nie przynoszący zaspokojenia i potęgający jedynie pragnienie.

Skąd to pochodzi? Czy wina leży w banalności scenarjuszy, w płytkości reżyserji i niedoskonałości gry aktorów?

Czy też może powodu szukać trzeba w istotnych pierwiastkach kina, które wykluczają „psychologizm“, „analizę duszy“, intensywne „życie wewnętrzne“, jako przedmioty sobie

obce i cudze. Wykluczają również słowo, jako zbyt cenny balast...

Co stanowi zatem istotę kina? Po jakiej drodze idzie jego rozwój? Co kino nam objawia?

Tu wkraczamy w dziedzinę problemów estetycznych, które wprowadza, omawia i częściowo rozwiązuje K. Irzykowski w swej znakomitej książce, poświęconej kinematografii.

II.

Prawie równocześnie w bieżącym t. j. 1924 r. ukazały się w Polsce dwie książki o kinematografii: Józefa Jedlicza „Teatr, a Kino“ i Karola Irzykowskiego: „X-a Muza“. *) Jedlicz poświęca swe studjum rozważaniu kina jako bardzo ważnego zjawiska w życiu społeczeństwa; patrzy na nie jako na środek wychowawczy, mający znaczenie przy urabianiu duchem zbiorowości ludzkiej. Środek ten nie może być zapoznawany.

Dotychczas jednak mają go w rękę aferzyści, parwenjusze i dorobkiewiczze, bez smaku i idei. Jedlicz domaga się więc kompetentnej opieki i kontroli państwa nad właścicielami kin i nad kinową wytwórczością.

Książeczka Jedlicza, zajmująca się również częściowo sprawą stosunku kina do teatru, — leży jednak przedewszystkiem w sferze pedagogiki społecznej, nie wnosząc nic prawie do zagadnień estetyki kinematografu.

Irzykowskiego rzecz natomiast, obszerna i specjalna, jest pierwszym naukowym studjum polskim w tej kwestji. Sądzę, że dla poważnych bywalców kina książka ta będzie rewelatorską i bardzo pomocną przy orjentowaniu się w zagadnieniach tej nowej sztuki.

Bowiem Irzykowski przystępuje tu do ustalenia wartości, które wyróżniają X-ą (jak nazwał kino) Muzę od innych i które stanowią o jej odrębności. Nie analizuje zatem kina od strony przeżyć widza, nie zajmuje się psychicznym, ani społecznym jego wpływem i znaczeniem, lecz zastanawia się nad istotą objawień filmu, nad istotą tego czegoś „nowego“, które kino wniosło do sztuki.

„Kino jest widzialnością obcowania człowieka z materją“. — „Kino otworzyło przed nami Królestwo Ruchu“ — jest to teza Irzykowskiego. Z niej wypływa analiza „specyfizmu“ kinowego, którym zajmuje się jego książka,

Irzykowski stawia po raz pierwszy w Polsce zagadnienia estetyczne w zastosowaniu do kina, — niektóre z nich wprost stwarza i sądę, że w tak nowy i przenikliwy sposób ujmuje je w tej dziedzinie wogóle

*) Józef Jedlicz: „Teatr, a Kino“, Biblioteka tęczowa. № 3. Lwów 1924. Nakł. Spółki Akcyjnej wydawniczej str. 55
Karol Irzykowski. X-a Muza. Zagadnienia Estetyczne Kina. Kraków. Krakowska Spółka wydaw 1924 r. str. 238.

pierwszy. Wobec wynurzającej się dopiero z chaosu twórczego sztuki tej stawia hipotezy, urastające niekiedy do mocno uzasadnionych teoryj.

Punkt ciężkości zainteresowań kinematograficznych Irzykowski przesuwa z treści na problemy ruchu, które się tu ziszczają. Człowiek i przedmioty w ruchu; ich wzajemne, ruchowe zależności; człowiek jako żywioł czynny; przyroda — jako żywioł twórczy i niszczyielski. Spełnia się tu słowem to, czego w innej sztuce otrzymać się nie da: obraz dynamizmu świata; sztucznego i pozanaturalnego nawet, gdyż kino może imaginować i tworzyć w dziedzinie ruchu (bajka o siedmiomilowych butach, golem; — samoruszające się przedmioty; ziszczalność cudów: rozstępowanie się wód morza).

Irzykowski zdaje się widzieć przyczynę specjalnej emocjonalności kina w jego tajemnicach ruchu i w „prawie zwierciadła“: „bo światem do połowy tylko rządzi zasada czynu, druga połowa stoi pod prawami zwierciadła“, — w kinie „świat postawiony jest na swej stronie optycznej, na której nigdy wyłącznie nie stoi — pokazuje się w niem tylko optyczna skóra wszechdarzeń“!

„W człowieku tkwi chęć oglądania rzeczy i spraw w oderwaniu od rzeczywistości... w tem jest jedno ze źródeł sztuki wogóle“.

Czyżbyśmy, jako tłum, w kinie nie ulegali bezwiednie wielkiej hipnozie sztuki, potężniejszej, niż gdzieindziej i czy nie w tem leży jego działanie tak powszechne?

W sześciu częściach swojej książki Irzykowski rozpatruje zagadnienie formy i treści kina: jak kino „rejestruje“ świat i jak przerabia go w fikcji, w jaki sposób czyni się tu widzialnym „obcowanie człowieka z materją, przyjazne lub wrogie“?

Znając i opanowując świetnie bogatą literaturę europejską o kinematografii, Irzykowski wyprowadza własną o nim koncepcję przede wszystkim przez jasne wydzielenie zasadniczego problemu i uzasadnienie go szeregiem przeanalizowanych przykładów, — następnie przez postawienie wytycznych, sięgających w przyszłość tej sztuki.

Zdaniem Irz. „scenariusze powinny być pisane specjalnie tylko dla filmu, pod wpływem odrębnego natchnienia i odrębnych idei“.

„Dramat filmowy będzie... porachunkiem z wszelką widzialnością kosmosu“.

„Rezygnacja kina ze słowa nie jest tylko rezygnacją z głosu, lecz wogóle z normalnej drogi, którą duchowość ludzka reaguje na świat zewnętrzny, przeciwstawiając mu wewnętrzny świat sensu, zbudowany z pojęć mówionych, pisanych, myślanych“.

Według teorii Irzykowskiego najbardziej „kinowemi“ są obrazy filmowe, dające ruch, wszelkie odmiany i kombinacje jego, ciekawie, twórczo skomponowane lub podpatrzone*).

Filmy teatralne, aktorskie, oparte na samym wyrazie twarzy, na dramacie psychologicznym wkraczają w dziedzinę, obcą kinu.

Lecz nie chcą wdawać się w szczegóły ..

Przyszłość filmu widzi Irzykowski w filmie rysunkowym, który przedstawia nieograniczone możliwości dla twórczości ruchu; wreszcie w filmie „czystego ruchu“ najnowsze kierunki malarskie mogłyby swój ukryty szal zaspokoić“.

Tu kino wkroczyłoby już w dziedzinę abstrakcji i stałoby się muzyką barw, — treść zostałaby z niego wyeliminowana całkowicie.

Część VII Książki: „Kino, a teatr i słowa“ jest kwintesencją poglądów autora.

Teatr, dziedzina słowa (słowa utożsamionego z treścią), zubożony i zapoznany dziś, jest czemś wręcz różnym od kina. O różnicy tej bardzo pięknie mówi Irzykowski. „Słowo—promień utkany z fikcji, a docierający do najdalszych stanów niewidzialności; kino — zwierciadło widzialności, pokazujące ją in statu nascendi“.

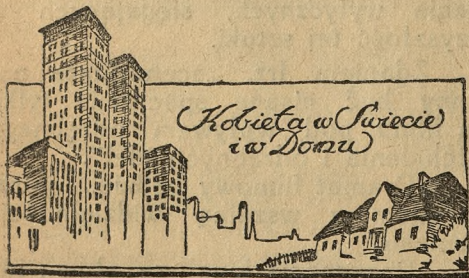
* * *

Książka Irzykowskiego, pisana żywo, łatwo, i „kinowo“, poparta dużą ilością przykładów znanych Warszawie filmów, ze względu na rozbić myśli zasadniczych na fragmenty, rozsiane w poszczególnych rozdziałach, wymaga dużej uwagi i koncentracji od czytelnika.

Trud ten opłaci wszakże w zupełności przyjemność wielką, jaką daje obcowanie z żywą, głęboką i oryginalną myślą autora X Muzy.

N. Samotybyowa

*) „Idealną sztuką dla kina jest taka, w której walory kinowe... bez przymusu wypływają z treści, bo ona sama do nich dąży, w której sceny czysto kinowe są zarazem scenami największego napięcia treści“ (Str. 144. X Muza).



ELEKTRYCZNOŚĆ I KOBIETY.

Czytamy w „The Woman's Leader“ sprawozdanie z konferencji, jaka miała miejsce przed dwoma tygodniami w Londynie, w lokalu stowa-

rzyszenia Kobiet Inżynierów. Na konferencji tej postanowiono utworzyć „Towarzystwo Elektryczne dla kobiet“, w celu zainteresowania ogółu kobiet angielskich kwestją umiejętnego zużytkowania elektryczności do celów gospodarczych. Kilka wybitnych inżynierów-elektrotechniczek podkreślało ogólny niski poziom wiedzy technicznej wśród kobiet i małe ich zainteresowanie temi kwestjami, tak bardzo ważnymi jedaak w gospodarstwie domowym. Postanowiono założyć kursy poglądowe, na których byłyby demonstrowane różne aparaty elektryczne, służące do celów gospodarskich, wraz z pokazami i nauką, jak należy się z niemi obchodzić. Pokazy uzupełnione będą popularnymi wykładami teoretycznymi o elektryczności, sposobie jej użycia, metodzie oszczędności przy jej używaniu, konstrukcji i t. p. Stowarzyszenie projektuje wprowadzenie takich krótkich kursów do programu szkół gospodarczych, specjalnie zaś do szkół instruktorek gospodarstwa domowego (Girl Guides).

„ŚWIĘTA JOANNA“ I KLUB LONDYŃSKI.

Z powodu wystawienia na scenie teatru Polskiego „Świętej Joanny“ warto przypomnieć pewien incydent, który miał miejsce w Londynie, w kilka dni po premierze tej wspaniałej sztuki. Oto zarząd jednego ze znanych klubów londyńskich postanowił, w uznaniu wielkiego talentu scenicznego odtwórczyni roli tytułowej, panny Sybilli Thorndike: wydać na jej cześć uroczysty obiad, w którym mieli wziąć udział wszyscy najwybitniejsi przedstawiciele świata artystycznego i literackiego. Gdy przystąpiono jednak do urzeczywistnienia tego projektu, zaczęły się piętrzyć nieprzewidziane trudności. Oto — jak się okazało — ustawa klubu nie przewiduje możliwości dopuszczenia osób płci żeńskiej do sali obiadowej. Co poradzić? Trudno przecież zmieniać ustawę ad hoc, bez zwoływania ogólnego zebrania członków! Uradzono wreszcie — zaprosić, pomimo wszystko, słynną artystkę, wbrew ustawie, jednakże dla „uratowania honoru“ klubu rozesłano zaproszenia, w których zarząd wyjaśniał, iż fakt zaproszenia na zebranie członków—niewiasty, jest okolicznością wyjątkową i może być wytłumaczony pragnieniem uczczenia wielkiej artystki, a jednocześnie uprzejmością dla pięknej połowy rodu ludzkiego“.

Zaproszenie takie, przesłano, oczywiście, w pierwszym rzędzie Bernardowi Shaw, jako autorowi „Św. Joanny“. Ten jednak, nietylko zaproszenia nie przyjął, lecz przesłał do pism list następującej treści.

„Jestem niepomiernie zdziwiony tą niesłychaną dla mnie rewelacją, że Klub X w 1924 r. naszej ery, zdobył się na krok tak śmiały i tak rewolu-

cyjny, jak dopuszczenie do swego lokalu niewiasty — oczywiście z całym szeregiem zastrzeżeń i ograniczeń! Krok ten tłumaczy Zarząd Klubu chęcią pionierstwa w uznaniu praw płci pięknej“. Pionierstwo zaiste!

Bezczelność takiego zacofanego, obskurantkiego, ograniczonego umysłowo i anachronistycznego klubu, który ośmiela się zapraszać do siebie pannę Thorndike i używać nadaremnie imienia Św. Joanny — przechodzi po prostu wszelkie granice! Dziwi mnie pobłażliwość tej wielkiej artystki, która zgodziła się rozjaśnić przez chwilę promienną swą istotą ponure mroki tego konwentu. Co do mnie, nie poszedłbym za żadne skarby świata nietylko na uroczyste posiedzenie tego klubu, lecz nawet na jego pogrzeb.“

OBCHÓD KU CZCI POLEGŁYCH W DUBLINIE.

Dziennik Irlandzki „The Iriste Times“ donosi o wielkiej manifestacji ku czci poległych podczas wojny, jaka miała miejsce d. 11 listopada b. r. w Dublinie. W manifestacji tej brały udział tłumy publiczności, wśród której specjalną uwagę zwracały kobiety: żony lub matki poległych, w grubej żałobie, z przypiętymi na piersi orderami, krzyżami i odznakami honorowymi, które zostały udzielone ich najbliższym za bohaterski czyn na polu walki—już po ich śmierci.

Około tysiąca kobiet, które podczas wojny pełniły służbę pomocniczą przy armii, szło w szeregu poza wojskiem. Manifestacja obfitowała w momenty niezwykle wzruszające. Jednym z nich było przemówienie pewnego wojskowego, który podniósł ciche bohaterstwo tych, co złożyły na ołtarzu poświęcenia wszystko, co najbardziej kochały; matek, których synowie poszli, aby nigdy nie powrócić; żon: wychowujących małe dzieci w kulcie pamięci bohaterskiego ich ojca; narzeczonych, co pozostały wierne ukochanemu człowiekowi poza grobem... Jakby w odpowiedzi na te słowa, dwie młode zakonnice, wyszedłszy z pobliskiego kościoła, zbliżyły się do krzyża, niesionego na czele pochodu i ukłękły przed nim, pogrążając się przez chwilę w modlitwie. Cały orszak stanął, a wielotysięczny tłum, obnażywszy głowy, z uszanowaniem i w skupieniu, przyglądał się tym młodym dziewczętom, które utraciwszy ziemskie szczęście, zapragnęły złożyć życie swe w ofierze Bogu...

Najbardziej wzruszającą jednak była scena, która miała miejsce przy końcu uroczystości. Jakaś młoda wdowa po poległym oficerze, trzymając za rączkę synka, udekorowanego orderami zmarłego, chciała złożyć skromny swój wieniec u stóp krzyża na mogile „nieznanego żołnierza“. Malec jednakże przeszkodził jej w tem, wołając na cały głos: „Mamusiu, gdzie

jest mój tatuś? Musi przecież być gdzieś pomiędzy tymi panami w mundurach? Oddajcie mi mego tatusia — ja chcę mego tatusia!" Biedna matka zaledwie mogła utulić rozżalone dziecko, a wśród tłumu dały się słyszeć stłumione łkania tych, co także, jak ten mały sierota, utracili tego, który im był najdroższy na świecie... Z. B.

WYCHOWANIE FIZYCZNE I ŻYCIE SPORTOWE KOBIET

OBOZY ŻEŃSKIE PRZYSPOSOBIE- NIA WOJSKOWEGO.

Niema już dziś chyba inteligentnej kobiety, któraby nie rozumiała doniosłości i niezbędności przygotowania nie tylko mężczyzn, ale i ogółu kobiecego na wypadek wojny.

Każda Polka brała jakiś choćby mały udział w pracach, jakie narzucała nam burza wojenna, każda chyba należała do jakiegoś Towarzystwa czy Komitetu, czyto niosącego pomoc żołnierzowi, czy rannym jeńcom lub sierotom po poległych, wiele kobiet pracowało w szpitalach i biurach wojskowych, nie mówiąc już o tych, które z bronią w ręku zorganizowała Ochotnicza Legja Kobiet i o tych nielicznych, rozrzuconych, jak zwyczajni żołnierze, po oddziałach męskich.

Że praca ta była chaotyczna, a przez to często szła na marne, przekonałyśmy się niestety wszystkie, i wszystkie uznajemy dziś, że wychowując kobietę — obywatelkę nie możemy niestety mieć tylko na względzie czasów dobroczynnego pokoju, lecz musimy przygotować ją i na czas wojny.

Komitet przysposobienia Kobiet do Obrony Kraju ma za zadanie przygotowanie ich do służby pomocniczej w armii samej czy to na froncie czy w służbie tylowej.

O metodach pracy komitetu, o tem, jakie rodzaje tej służby są najodpowiedniejsze dla nas, co w którym z nich już osiągnięto, nie mojem jest zadaniem mówić.

Chcę pomówić o znaczeniu przysposobienia wojskowego jedynie z punktu widzenia wychowania fizycznego.

Poza specjalizacją w poszczególnych działach służby pomocniczej czy to będzie dział sanitarny, biurowy, gospodarczy, czy też służba łączności, każda z uczestniczek kursów P. W. jest obowiązana przejść podstawy przeszkolenia ściśle żołnierskiego.

I ta właśnie strona wojskowa spotyka się z wieloma przeciwnikami w zastosowaniu jej do kobiet.

Często słyszy się zdziwione lub wprost krytyczne zdania „po co bio-

ralistce, sanitariuszce, czy telefonistce wykszolenie wojskowe?" „to niepotrzebna strata czasu, niepotrzebny koszt”.

Tymczasem pomijając niesłychanie doniosły wpływ wyrobienia wojskowego na poczucie karności, sumienności w pracy, samodzielności i t. p. najgłówniejszym argumentem, który przemawia za wykszoleniem wojskowym jest wyrobienie fizyczne, jakie ono daje.

Okresem najbardziej wzmóżnej pracy wśród „rezerw kobiecych" jest czas, spędzany w obozach letnich, które od dwóch lat organizuje Komitet przy wydatnej pomocy M. S. Wojsk.

Obóz letni daje kobiecie, podobnie jak mężczyźnie nadzwyczajne korzyści czysto fizyczne, a nawet większe niż mężczyźnie, który i w życiu codziennym i w czasie odbywania obowiązkowej służby wojskowej ma więcej sposobności, by ćwiczyć i uodpornić swój organizm.

Dla kobiety, przeciętnie biorąc niewyrobionej fizycznie, obozy letnie będą jedyną szkołą zdrowia, odporności i siły, podobnie jak dlamłodzieży życie w obozach harcerskich.

Wszystko jedno, czy ma to być sanitariuszka, która będzie zmuszona z wyłączeniem wszystkich sił swoich czuwać nocami nad chorymi, czy dźwigać nosze z rannym, czy kobieta w służbie gospodarczej, którą przędzie do jakiejś czołówki, czy transportu, czy nawet telefonistka w sztabie lub kancelarji, każda z nich tylko wtedy będzie sprawnie i skutecznie pełnić swoją służbę, gdy będzie silna i zdrowa, gdy nawyknie do trudów życia obozowego.

Jakże często można było widzieć kobietę pełną najgorętszego zapału i poświęcenia, która po miesiącu czy dwóch, pracy w szpitalu, wyczerpana i złamana fizycznie i nerwowo ze wstydem musiała rzucić swoją placówkę dlatego tylko, że była fizycznie nieprzygotowana, że przeliczyła się ze swojemi siłami.

W obozie letnim w przeciagu kilku tygodni znajduje się kobieta w zupełnie innych warunkach niż jej zwykłe warunki domowe. Musi się poddać rygorowi wojskowemu, wstawać o świcie, zadawałniać prostemi pokarmami, przebywać dzień cały na dworze, nocuje często pod namiotem lub nawet pod gołym niebem.

Uczestniczki obozu codziennie gimnastykują się, odbywają musztrę, marsze, często dłuższe wycieczki i wycieczki polowe, używają kąpeli rzecznych i t. p.

Wszystko to, prócz tego, że wyrobi siłę fizyczną kobiety i zahartuje ją na warunki klimatyczne, przyzwyczaja ją do życia silnego, prostego, pełnego tężyny i bliższego naturze, wyrobi w niej upodobanie do sportów i wycieczek.

Nauka strzelania podniesie w niej śmiałość i pewność siebie, które

niejednokrotnie w warunkach służby na froncie mogą jej oddać wielką przysługę.

Kobieta, która przejdzie przez obóz letni P. W. będzie napewno pionierką wychowania fizycznego i tężyny życiowej wśród szerszego koła kobiet, między którymi się znajduje; potrafi ona także nadać odpowiedni kierunek wychowaniu swoich dzieci.

O ŻYCIU SPORTOWEM FRAN- CUZEK.

W jednym z ostatnich numerów „Stadjonu" podaje p. K. Muszałówna „Próbe charakterystyki" życia sportowego francuzek. P. Muszałówna podkreśla, że praca w klubach kobiecych tak licznych i tętniących silnym życiem jest prowadzona ogromnie planowo i systematycznie. Członkinie klubów przygotowują się do poszczególnych sportów stałym uprawianiem specjalnej gimnastyki, ich stan fizyczny jest pod ciągłą kontrolą lekarską.

W klubach są sekcje najrozmaitszych gałęzi sportu.

Za ujemną stronę życia sportowego Francuzek uważa p. M. nadmierny rozwój kolarstwa i footballu. Na ten zarzut trudno mi się zgodzić. Zapewne, że jednostronność w sporcie, a szczególnie w powyższych wymienionych, wybitnie „nożnych", dla kobiety nie jest pożądana.

Sport kobiecy we Francji jest jednak dziełem ostatniego dziesiątka lat, trudno więc żądać, aby już był we wszystkich swoich przejawach racjonalnie kierowany i uprawiany. Że Francuzki rzuciły się masowo do kolarstwa to wobec dość często spotykanego zwyczaju wożenia dzieci w wózkach, umieszczonych między dwoma rowerami, zupełnie jest zrozumiałe.

Tłumne zwrócenie się do footballu tłumaczy fakt, podnoszony przez p. M. mianowicie, że mężczyźni Francuzi tak chętnie i energicznie dopomagają koleżankom — sportsmenkom, Sami uprawiając football tego uczą swoje rodaczki.

Gry, jak piłka latająca czy koszykowa, daleko rzadziej są przez mężczyzn uprawiane; jak się to dzieje u nas, uczą się ich dziewczęta przeważnie w szkołach od nauczycielki gimnastyki lub z podręczników.

Tymczasem nauczycielki ani podręczniki piłki nożnej nie zalecają, a o pomocy ze strony naszych sportsmenów nie da się niestety powiedzieć, by była zbyt wydatną!

To masowe, modne uprawianie kolarstwa i footballu uważam za objaw bardzo dodatni. Ono to dało Francuzkom ten pęd tak żywiołowy i szeroki w kierunku ruchu, swobody, zwalczania przesądów towarzyskich, w kierunku zastąpienia gnuśnych

i bezmyślnych rozrywek towarzyskich silnem i radosnem życiem pod gołym niebem.

Rzecz już władz sportowych i klubów nadać temu pędowi właściwy kierunek.
I. Fabrycowa.

MUZYKA

SŁOWO WSTĘPNE

Będąc powołaną przez Redakcję „Bluszczu” do pisania artykułów muzycznych dla Czytelniczek, interesujących się muzyką, chciałabym najpierw przytoczyć motywy, jakimi kierowała się Redakcja, wprowadzając ten dział, a potem w krótkości omówić to, o czym zamierzam pisać.

Nieraz zwracano się do Redakcji „Bluszczu” z zapytaniami w sprawach muzycznych (przeważnie z prowincji); chodziło o informacje, co można grać z utworów współczesnych, nie wymagających zbyt wielkiej techniki, co jest do przeczytania z tego lub owego działu muzyki, jakie nietrudne a muzycznie wartościowe utwory z repertuaru pedagogicznego można dawać uczącym się w domu gry na fortepianie i t. p. Nieraz też osoby, blisko stojące „Bluszczu”, słyszały w otoczeniu swem wyrazy żalu, że przeciętnie muzyczna jednostka prawie nie znajduje do przeczytania w czasopiśmie z zakresu muzyki; inne działy omawiają się nieraz — muzyka nader rzadko.

Chcąc przyczynić się do uzupełnienia istniejącego braku, „Bluszczy” zamierza zorganizować dział muzyczny w następujący sposób: Co dwa tygodnie ukazuje się większy artykuł, omawiający jedno z zagadnień muzycznych. Niezależnie od tego Czytelnikom będą udzielane odpowiedzi na zapytania w sprawach muzycznych. Przedmiotem tych zapytań mogą być: 1. Repertuar fortepianowy — wokalny dla amatorów. 2. Repertuar pedagogiczny dla uczących się grać w domu. 3. Podręczniki teoretyczno-muzyczne. 4. Śpiewniki dla dzieci i młodzieży. 5. Wskazówki metodyczne dla grających w domu.

Po głębszem rozważeniu, co interesuje muzycznych czytelników i co może im być potrzebne, tak mniej więcej przedstawia mi się kształt tych artykułów. Powinny one informować o nowszych prądach w nauczaniu muzyki, o ruchu muzycznym w kraju, omawiać ciekawsze i ważniejsze momenty z historii muzyki powszechnej i polskiej, zapoznawać czytelników z wielkimi postaciami muzycznymi czasów nowszych i dawniejszych, — dać wykaz ich kompozycji, może mniej znanych szerszemu ogółowi, dostępnych dla jego poziomu wykonawczego. Wreszcie z korespondencji muzycznej z czytelnikami „Bluszczy” wyłonią się może jeszcze i inne tematy. W miarę możliwości postaram się zadowolnić życzenia czytelników i na pytania, wymagające dłuższego omówienia, odpowiadać drogą artykułów.

Na zakończenie wyjmę parę zdań z artykułu Ludomira Różyckiego „O muzyce w szkołach” (Kurjer Warszawski, 4 listopada r. b. — „Jako czynnik ogólnego wykształcenia, czynnik niesłychanie ważny, muzyka w Polsce znajduje się poza obrębem szerokich warstw społeczeństwa.

Ułatwić dostęp szerokiemu ogółowi do muzyki, oparty na konsekwentnym, z góry obmyślanym planie, zastosowanym do psychiki polskiej, jest to dzisiaj zadanie pierwszorzędnej uwagi.”

Nawiązując do tych słów, choć ujmujemy sprawę z innej znowu strony, ze stanowiska zainteresowania muzyką ogółu pozaszkolnego, — jednak mamy przekonanie, że w ten sposób uda się i nam drobny wysiłek przyłączyć do ogólnego ruchu w kierunku wzmocnienia powszechnej kultury muzycznej w kraju.
Ryta Anus.



Z TEATRÓW

TEATR MAŁY

„Pan swego serca” — dramat w 3 aktach Pawła Rainal. Przekład Stanisława Miłaszewskiego. Reżyserja Aleksandra Węgesi. Dekoracje Karola Frycza.

Paweł Rainal! Jest to dziś nazwisko głośne w Paryżu. Autor młody, wybitny, — z kategorii talentów „niebezpiecznych”. Ostatni jego utwór „Grób pod Łukiem Triumfalnym” wywołał burzę wielkich hałasów i protestów w prasie i wśród publiczności. Autor zbyt śmiało i zbyt bezwzględnie oświetlał konflikty stworzone przez wojnę.

Nie wywołał tej burzy jego utwór następny: „Pan swego serca”, utwór — mimo śmiertelnego strzału w trzecim akcie — spokojny.

Siedliskiem konfliktu, który wypełnia 3 akty dramatu — są serca i to młode serca trojga młodych ludzi. Nie ulega kwestji, że problem w którego szponach szamoce się ta młodzieńcza trójka — nie zaistniałby może ani na chwilę dla ludzi „starszych”, ludzi którzy żyli, niejedno widzieli, niejedno rozumieją, a przede wszystkim dla ludzi, którzy idą w fakt batuty rozsądku.

Ale młodzi...

Oto „pan swego serca”, Henryk, nie kochał dotąd żadnej kobiety, choć tyle kobiet dawało mu swą szczerą i głęboką miłość. Nie kochał, bo nie znalazł dotąd kobiecego serca godnego jego serca, pełnego dumy i szlachetności. Ale — gdy spotka kobietę jedyną, która go pokocha również od pierwszego wejrzenia miłością szczerą, bezwzględną, ślepą, nie znającą gry i taniej kokieteryj — los zrządzi — że będzie to największa miłość jego przyjaciela.

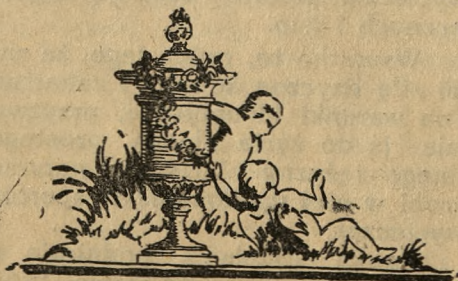
I wówczas Henryk na ołtarzu przyjaźni składa całopalną ofiarę miłości ukochanej kobiety.

W ostatniej jednak chwili, gdy młoda księżna przez miłość dla Henryka — wiąże swój los z losem jej przyjaciela, coś się załamuje. Słowa dyktowane przez heroizm przyjaźni zamierają na ustach, a z serc, płonących bezgranicznym rozkośnianiem wyrwie się krzyk podeptanej miłości. I wówczas wystrząsam w samo serce — usuwa się z drogi kochających ten, którego nie kochano.

Jeżeli można mieć pewne zastrzeżenia co do dróg — któremi wiodł nas autor poprzez labirynt konfliktów trzech rozkochanych serc, to jednak oczarował nas tak niezrównanym kunsztem dialogu, że z niesłabnącą uwagą śledzi widz tę wspaniałą szermierkę słów oddaną po mistrzowski w doskonałym przekładzie St. Miłaszewskiego.

Sztukę grali świetnie p. Przybyłko-Poćtocka, p. Leszczyński i p. Węgielko.

p—a.



Z KSIĄŻEK

BIBLIOTECZKI DOMOWE.

Nie trzeba być nerwowym ani literatem, żeby mieć zamiłowanie do książek i chronić je przed zniszczeniem. Dlatego w każdym domu, gdzie czytacie, umieją, znajdźcie się jakaś biblioteczka, ale zazwyczaj przygodna i nieskompletowana.

Bo stworzenie dobrego księgozbioru, choćby w szczupłych tylko ramach, wymaga jasnego sądu o przedmiocie. Trzeba porównywać, oceniać, wybierając pisma istotnie cenne, odpowiadające charakterowi danej biblioteki.

Tutaj obchodzą nas nie zbiory, służące potrzebom jakiegoś zawodu, ale te, które w życiu domowym stanowią podstawę czytelnictwa.

Ktoś musi w domu tą sprawą kierować świadomie i tworzyć działający księgozbiór, licząc się z wiekiem i ze szczególnymi upodobaniami członków rodziny.

Od lat najmłodszych stykamy się z książką. Zrazu pociągają nas ilustracje, zwłaszcza barwne, potem uczymy się cieszyć rysunkiem i zaciekawiać treścią wierszyków czy powiastek.

Ale te pierwsze książki mają zwykle żywot krótki, giną przedwcześnie, zanim spełnią swą rolę.

Trzeba rozciągnąć nad nimi opiekę, póki się dzieci nie przygotuje do pieczy samodzielnej nad biblioteczka.

Wobec drożyzny książek, rodzice starają się przedewszystkiem uwzględnić potrzeby swych dzieci. I słusznie. Dorośli łatwiej mogą korzystać z biblioteki i czytelnicy publicznej, dla nich więc sprawa biblioteki własnej — nie mówimy tu o pracownikach bankowych — jest mniej doniosła.

Dzieciom natomiast trzeba dać książki, które warto odczytać wielokrotnie, tworząc możliwie urozmaicony księgozbiór, wystrzegając się jednostronności.

Chodzi bowiem zarówno o należyty stosunek tradycji do rzeczywistości aktualnej, jak też elementu poetyckiego do opowieści realistycznej czy popularno-naukowej.

Nie powinno w zbiorach, przeznaczonych dla młodzieży, brakować arcydzieł o wypróbowanej wartości, dlatego potrzebne są przedruki książek wyczerpanych.

Ale poczytność książki zależy od wielu czynników, dlatego liczy się wypadki i z gustem młodzieży, który ulega zmianie.

Jedną z ulubionych książek starszego pokolenia było „Serce” Amicisa. Jakże osłabł wpływ tej pięknej publikacji w dobie obecnej! Nie rugujemy przeto tej książki. Bynajmniej! Stwierdzamy tylko fakt zmiany gustu czytelników.

Książki, które nas zachwycały w dzieciństwie musimy podzielić na dwie grupy. Jedną stanowią te, które miały znaczenie chwilowe, drugą, które dzisiaj jeszcze budzą głębsze myśli czy wruszenia.

O nich nie można zapomnieć przy tworzeniu biblioteczki.

To uwaga ogólna. A teraz wybór książki, zależnie od tematu, ujęcia i nastroju.

Nie podobna ograniczyć się przy wyborze tylko do fabuły powieściowej. Trzeba ponadto rozważyć walory artystyczne i od wczesnych lat rozwinąć wrażliwość dziecka na piękność wiersza.

Dlatego obok wybitnych powieści polskich i obcych znaleźć się winny w rękach dzieci i młodzieży utwory poetyckie. A więc bajka Słowackiego „Janku, co psom szły buty”, „Konopnickiej”, „Poezje dla dzieci” o „Jan ku Wędrowniczku”, gdzie nie fabuła, ale raczej artystyczne jej ujęcie działa na czytelnika, wierszyki i piosenki Rogoszewny. Nie możemy tu wymienić wszystkich utworów, pożądanym w wieku przedszkolnym, bo nie piszemy katalogu. Zwracamy uwagę na typowe jedynie.

Z powieści wybieramy te, które pobudzają wyobraźnię w kierunku dla umysłu i charakteru pożądanym.

Kierownictwo artystyczne w latach późniejszych obejmuje szkoła, dom stara się się głównie o wypełnienie jej programu.

Ale prócz utworów poezji i prozy klasycznej młodzież czyta powieści. Czyta szybko i dużo. Trzeba jej dać materiał bogaty i wartościowy równocześnie. Będą różne w tej sprawie opinie — to oczywiste. Jedni boją się baśni fantastycznych, inni wreszcie lękają się powieści współczesnych.

Praktyka wykazuje, że wszystkie wymienione wyżej rodzaje literackie mają swe uzasadnienie i mogą duże usługi oddać w rozwoju umysłu i charakteru młodzieży.

Baśnie pobudzają wyobraźnię, odrywają od rzeczywistości, co w pewnych warunkach może być bardzo dobre, bo i dzieci mają swoje strapienia, im także potrzebne jest nieraz zapomnienie o rzeczach realnych.

Andersen, Grimm, baśni ludowe polskie w przetworzeniu artystycznym Ostrowskiej, Gawińskiego i in., rolę tę soełnią należycie, poruszając nieraz poważnie, głębsze refleksje w duszy czytelników. Mamy awanturniczy ma zawsze za sobą sympatię młodocianych. Nic w tem dziwnego.

Robinson Kruzoe jest ulubioną książką młodzieży, a Verne i Umiński swemi powieściami na temat podróży fantastycznych budzą także żywe zainteresowanie. W danym wypadku nasuwa się jednak potrzeba selekcji, bo nie wszystkie pisma tych autorów wartość mają jednaką. Trudno jednakże rozwozić się tu o tem szerzej.

Dostęp Polski do morza, bogaty zakres możliwości życiowych, jaki otworzył się z wznowieniem bytu naszego państwa, pobudza młodzież do czytania książek o podróżach. W naszej literaturze niewiele mamy dobrych publikacji z tej dziedziny. Dlatego wznowione „Przygody prawdziwych żeglarzy i podróżników“ Anczyca, jak też kłażki Korzaka, a dla starszej młodzieży i Goetla uważamy za lekturę pobudzającą i korzystną.

Dział powieści historycznych najmniej budzi wątpliwości. Zawsze żywotny jest Sienkiewicz, ale może za mało cenimy Kraszewskiego, choć młodzież niektóre jego powieści, jak np. „Kordeckiego“ czyta chętnie.

Osobny dział stanowią pamiętniki i powieści, związane z wypadkami lat ostatnich.

Niektóre są zbyt straszne, zbyt bolesne, by je dawać w ręce młodzieży. Ale cała niemal nasza literatura wojenna faluje duchem bohaterstwa i ewangelicznego darowania win.

Wśród wielu pism tej grupy dla młodzieży zalecić można: Ostrowskiej „Bohaterkiego Misia“, Zakrzewskiej „Białe róże“ i „Dzieci lwowa“, i Wacława Lipińskiego „Od Wilna po Dynaburg.“ Główną potrzebą współczesnej Polski jest dobra organizacja pracy, która siły jednostek spożytkuje na dobro narodu i państwa. Niesłuszny jest bowiem pesymizm, odmawiający Polakom zdolności do wytężonej i produkcyjnej pracy.

A przecież Polacy właśnie pod kierunkiem Kazimierza Wielkiego stworzyli potężną armję pracy, której mógłby nam każdy naród pozazdrościć.

Przecież polskiego robotnika nazywa wielki organizator pracy, Amerykanin Ford najbardziej pomysłowym i twórczym. Jego pamiętnik: „Moje życie i dzieło“ powinien się znaleźć w rękach naszej młodzieży, bo uczy, jak wyzyskiwać celowo siły ludzkie, dać zatrudnienie zdrowym i chorym, zdolnym i niezdolnym.

Rozumiemy wszyscy, że naszą niezależność, jako narodu i państwa trzeba oprzeć na niezależności ekonomicznej.

Gospodarcza samodzielnność musi być zdrową ambicją każdego Polaka. Chcemy budować swój byt na własnej odpowiedzialności, na własnym wysiłku.

Dlatego dobrze zapoznać dorastającą młodzież z pismami Francuza—Sorela, Polaka—Stanisława Brzozowskiego, Majewskiego i innych badaczy życia zbiorowego.

Młodszych „Serce“ Amicisa nauczy poszanowania pracy.

Zmysł rzeczywistości i usposobienie badawcze rozwijają pisma popularno-naukowe.

Dyakowski, Brzeziński, Dembowski w zakresie nauk przyrodniczych spełniają swe zadanie; prace historyczne czy literackie z natury swej bardziej dostępne również się winny znaleźć w bibliotekach domowych.

Opanowanie życia przez pracę produkcyjną jako droga do istotnej wolności — oto ideał dni naszych.

Ku temu celowi kierować chcemy młodzież, pod tym znakiem organizować wśród niej czytelnictwo.

Zofja Szmydtowa.

KSIĄŻKI DLA MŁODZIEŻY

Juljusz Słowacki „O Janku, co psom szył buty,“ bajka, wyd. „M. Arcta“ w Warszawie, rysunki A. Gawińskiego, r, 1922.

Szczęśliwym pomysłem nazwać trzeba wydobyć tej bajki z „Kordjana“ i danie jej w ręce dzieciom. Stanowi ona całość artystyczną zamkniętą i wykończoną.

Utrzymana w guście ludowym, zawiera opowieść żywą, dowcipną, pełną werwy i humoru.

Zrozumiała i dostępna przez swą fabułę i przez swój prosty dosadny styl gawędziarski, przyniesie dzieciom istotne dobro, budząc w nich szczerą wesołość i dobry smak estetyczny.

Książeczka ta wywołuje radość z innych jeszcze względów. Oto poeta wielki niedoceniony i niespopularyzowany u nas należycie zbliża się do dzieci polskich. Może pokochają trwałej i głębiej niż starsze pokolenia tego, co dotąd na obcej spoczywa ziemi, choć tak gorąco umiłował własną.

Wydanie staranne, ilustracje utrzymane w charakterze karykatur — zgodnie z nastrojeniem opowieści podnoszą wartość tej cennej publikacji. Książeczka znaleźć się powinna w każdej biblioteczce dziecięcej.

* * *

Antoni Gawiński „Lolek Grenadjer,“ czarodziejska historia, historia dla chłopców; wyd. III, wyd. „M. Arcta“ w Warszawie,

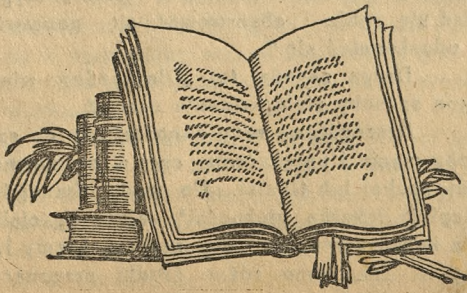
Po raz trzeci ukazuje się w druku ta książka, lekka, łatwo pisana, o zabarwieniu komicznym, budząca odwagę wojenną i miłość ojczyzny.

Mały Lolek pragnie zostać grenadjerem napoleońskim. I spełnia się jego życzenie. W dzień wigilijny przychodzi doń wróżka—Gwiazdka i oto za chwilę znajdzie się chłopiec wśród grenadjerów cesarskich w bitwie pod Austerlitz.

Odznaczony krzyżem walecznych, bierze udział w dalszych walkach. Służbę ma wesołą wśród ludzi pociesznych i niefrasobliwych. Zdobywa sobie szczególną łaskę cesarza.

Ginie pod Waterloo, ale we śnie tylko. Wróżka przychodzi ponownie, by zdjąć czar z chłopca, a Lolek budząc się, słyszy za drzwiami głosy rodziców.

W upominku świątecznym dostaje mundur gwardzisty.



Książkę czyta się prędko, dla rozrywki. Za mało może wymaga ona myśli i uwagi, tak uproszczone wszystko: zarówno wypadki jak i charaktery, skłaniające się ku taniej karykaturze.

Dla dzieci mało do czytania wdrożonych lektura bardzo pożyteczna.

Z. Szmydtowa.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Wśród najnowszych wydawnictw firmy „Gebethnera i Wolffa“ zwracają specjalną uwagę:

„Podróże Gen. Grąbczewskiego,“ tom 2-gi, lecz stanowiący oddzielną całość.

„Bunt,“ nowa powieść laureata Nobla Wł. St. Reymonta.

„Wspomnienia J. Nep. Niemcewskiego,“ niezwykle interesujące zarówno ze względu na osobę autora jak i na działalność jego w epoce powstań 1831, 48 i 63 r.

Instytut Wydawniczy „Biblioteka Polska“ wydaje dalsze tomy niezmiernie pożytecznej „Wielkiej Biblioteki,“ wśród których widzimy „Marję Malczewskiego, „Myszeis“ Krasickiego, „Fędrę Racine'a (w przekładzie Bøya), „Kolokację“ Korzeniowskiego, „Na przełęcz czy“ Witkiewicza, „Narodziny Tragedji“ Nietzschego i t. d.

Wyszedł także z druku nakładem tegoż wydawnictwa XII-ty tom dzieł zbiorowych W. Sieroszewskiego, zawierający powieść p. t. „Ocean.“

Z pomiędzy wydawnictw gwiazdkowych Zakładu Narodowego „Ossolineum“ na specjalne podkreślenie zasługuje bardzo ładna książeczka M. Wańkowicza, „Jak Kulusia zabyła poznać.“ Żywe i barwne opowiadanie, język literacko poprawny i dostosowany w zupełności do poziomu umysłowego młodszych dzieci, oraz piękne, prawdziwie artystyczne ilustracje kolorowe S. Bartłomiejczyka, czynią z tej książki dar niezmiernie miły dla „naszych malusińskich.“

„Biblioteka groszowa Wendego,“ z wielkim uznaniem należy powitać inicjatywę zastrzeżonej Księgarni „E. Wende i Ska“ dania społeczeństwu polskiemu naprawdę taniej, a jednocześnie dobrej książki. Księgarnia „E. Wende i Ska“ podjęła wydawnictwo nowego typu pod nazwą „Biblioteka Groszowa Wendego,“ w którym to wydawnictwie każdy tom objętości 15—20 arkuszy kosztuje tylko 95 groszy.

Dotychczas ukazały się w tem wydawnictwie następujące utwory J. Londona: „Syn Słońca,“ „Opowieści mórz południowych“ i „Na szlaku“ — których wysoką wartość artystyczną czytelnik polski poznał już w pierwszym wydaniu.

Jedno z najbardziej rozpowożeczonych przed wojną wydawnictw „Biblioteka Dzieł Wyborowych“, wznowiła swoją działalność pod kierownictwem p. Feliksa Gadowskiego i red. St. Lama. Wydano już dotychczas kilkanaście tomów doborowej literatury polskiej i obcej, a więc i powieści: „Moranda,“ „Levis i Irena,“ „Burge'a,“ „Dramat w wielkim świecie,“ „Stevensona,“ „Człowiek o dwu twarzach,“ „L. De Larue-Mardrus,“ „Obok miłości,“ „Winawera,“ „Doktor Przybram“ i opowieści podróżnicze: „Lepeckiego,“ „W krainie jagarów,“ „Bławatowskiej,“ „Dziwy Indji“ oraz studjum fantastyczne M. Manzi'ego „Tajemnice Atlantyd.“

Nakładem „Ligi Obrony Powietrznej Państwa“ ukaże się książka dla młodzieży p. t. „Maciek“ Iszy, król powietrza“ z ilustracjami Z. Grabowskiego.

„Stow. Pracowników Księgarskich“ wydało dwa przekłady powieści dla młodzieży „Chatana ustroniu“ Mayne-Reida i „Wesołe opowieści“ M. Busba.

Z SEKRETÓW PIĘKNOŚCI PARYŻANEK

(Korespondencja własna „Bluszczu”)

UNIwersytet PIĘKNOŚCI

Czyniąc zadość ogólnej potrzebie, paryskie salony fryzjerskie obok czesania, ondulacji, manicure'u, uprawiają prawie wszystkie masaże kosmetyczne, a także bardzo często niebezpieczny dla urody (szybko skuteczny, ale nadwyręzający cerę) masaż elektryczny. Jeśli zabiegi te niezawsze są w dobrym gatunku i nie dość umiejętnie stosowane — to jednak ceny ich przystępne zwabiają wiele kobiet uboższych.

Sztuce piękności, w wysokim stylu, poświęcone są wielkie zakłady, wykwiłtne i drogie, obsługujące klientelę bogatą. Przyjmują was tam w gustownie urządzonych salonach damy subtelne o manierach światowych, skończenie eleganckie, dyskretne — które są jednakże skromnymi pracownicami, zarabiającymi tutaj na chleb codzienny.

Klientki zaś, to albo panie światowe i arystokratyczne, albo bogaczki ze sfer finansjery i przemysłu, znane artystki, zapewne także piękne gwiazdy półświatka. Oczywiście żądania ich i zwierzania otoczone są tajemnicą nieprzeniknioną. Puszyste dywany zakładu tłumią wszelkie echo niedyskrecji. — Że np. pani lat 30-stu chce schudnąć i poprawić kształt zwiotczałych łydek, a pani lat 40-stu musi zmienić kolor włosów, aby uleczyć przedwczesną siwiznę — i wiele innych jeszcze smutniejszych rzeczy.

Zwiedziłam w Paryżu dwa najbardziej renomowane „salony piękności”. Jeden w starej, arystokratycznej dzielnicy przy placu Vendôme nosi nazwę Instytutu Piękności (Institut de Beauté), drugi w nowoczesnym centrum przy ulicy Champs Elysées szczyli się firmą Uniwersytetu Piękności (Universite' de Beaute'). Znać, że mierzą one wysoko i że nie brak im pretensji do naukowości.

Nowa klientka, przybywająca do uniwersytetu piękności, poddana jest szczegółowemu badaniu. Cera, włosy, ręce, sylwetka i wygląd ogólny. Doświadczona „lekarce piękności” nie ujdą uwagi plamy i nieczystości skóry, wywołane wewnętrznymi niedomaganiem. Bardzo często pierwszy wyrok brzmi: „Szanowna pani musi przede wszystkim udać się do lekarza i wyleczyć nerki, lub żołądek”. są to bowiem pospolite przyczyny złego wyglądu i przedwczesnego zniszczenia cery.

Salon piękności poza elegancką poczekalnią i salonem ogólnym zawiera szereg gabinetów, przeznaczonych do specjalnych zabiegów. A więc kilka gabinetów do masażu kosmetycznego, wykonywanego bądź palcami niekiedy elektrycznie wszelkich upiększeń cery. Jeden lub dwa gabinety do masażu ogólnego, wyposażone w odpowiednie przyrządy i środki. Na zabiegi te przychodzą panie na miejsce raz w tygodniu lub częściej. Poza „Instytut” czy „Uniwersytet” piękności udziela paniom porad w granicach swych specjalności, przesyła nawet istotnie dokładne recepty i przepisy kuracyjne mieszkankom prowincji. Na żądanie firma wysyła kosmetyki i przyrządy upiększające własnego wyrobu. © rozmiarach przedsiębiorstwa świadczy, że paryski Uniwersytet piękności posiada własne laboratorja i fabryki w Asnières.

Trzeba wiedzieć, że pracownice tych

salonów piękności kształcą się na specjalnych kursach kilkomiesięcznych. Przy „Uniwersytecie Piękności” istnieje szkoła, po ukończeniu której uczennice otrzymują dyplomy i mają być bardzo poszukiwane do podobnych zakładów w wielkich miastach francuskich i zagranicznych. Jest to rzemiosło popłatne i kobiety bardzo chwają sobie ten rodzaj pracy.

Umiejętność „lekarce piękności” polega na zastosowaniu właściwych metod, sposobów i kosmetyków dla każdej danej „pacjentki”. Inaczej masuje się twarz o skórze delikatnej i wiotkiej, inaczej skórę młodą i tęgą. Różnych kremów i pudrów używa się do cery suchej, a tłustej, wreszcie kolor i rodzaj pudrów, ołówków do brwi, powiek i rzęs, różów na policzki i wargi, dobiera się wedle fizjonomji klientki i efektu jaki się chce osiągnąć. Inaczej trzeba „zrobić twarz” na scenę, a inaczej do salonu...

Tę subtelną sztukę w różnych jej odcieniach bardzo zręcznie i ciekawie opanowały paryskie salony piękności.

Największe powodzenie ma z natury rzeczy masaż twarzy, połączony z parówką, czyli kilkominutową kąpielą w parze wodnej poczem następuje ostudzenie specjalnymi wodami, wcieranie kremów, różowanie, pudrowanie, poprawianie rysów i ubarwienia skóry za pomocą czarnych i kolorowych płynów i ołówków. Aby to dobrze wykonać, trzeba mieć dużo poczucia artystycznego i umiaru w podkreślaniu rysów. Nowoczesne tendencje wytworzyły używanie oryginalnych barw: są pudry nie tylko brązowe, ale zielone i niebieskie, a powieki maluje się czerwoną, błękitną, zieloną, fioletową i t. p. Ekscentryczności te nie nadają się do użytku poza sceną i estradą, w wielkim świetle i na dużą odległość.

Prócz masażu twarzy i masażu ogólnego, modelującego kształty ciała i udelikatniającego skórę, prawie każda kobieta potrzebuje sposobów na usunięcie choćby małych niedokładności specjalnych. Czerwoność rąk i nosa, obwisły podbródek, niegrzeczne włosy, rosnać na brodzie lub górnej wardze, piegi, — to są najczęstsze bolączki. A bywają rzeczy poważniejsze i bardziej intymne: jak np. wadliwa, lub zepsuta otyłość, lub wiekiem budowa ciała. Tam, gdzie nie pomagają kremy, wody i masarże, stosuje się stałą kuracją i przyrządy poprawcze. Są to aparaty, gorsety, maski z gumy impregnowanej, lub z tkanin impregnowanych. Wreszcie „Uniwersytet piękności” wskrzesił starożytne okłady i katapiazmy, — stosowane celem wzmocnienia mięśni i odmłodzenia cery.

SZTUKA PIĘKNOŚCI.

Pierwszą zasadą, zalecaną kobietom przez „Uniwersytet piękności” jest: „Przyglądać się sobie i obserwować się; poprawiać i udoskonalać się.”

Druga zasada, to: „Dla każdego wieku inne sposoby pielęgnowania urody.”

Szczegółowe rady odnoszą się do sposobu mycia i upiększania cery t. zw. normalnej, suchej lub tłustej. Do wody zimnej lub ciepłej „lekarce piękności” zaleca specjalne dla każdego rodzaju cery proszki, kremy lub mydła. Tak samo różne środki przeznaczają młodej kobiecie lat 20 i 30, inne piękności

niebezpiecznej lat 40, wreszcie specjalnymi receptami obdarza piękną jeszcze babcie. Są to sprawy skomplikowane — lecz próżność kobieca nie zna granic poświęcenia.

Wedle paryskich mistrzyń piękności istnieją trzy rodzaje kobiecego piękna, które kultywować można i należy:

I. Piękność plastyczna, czyli piękność rysów twarzy i kształtów ciała. Sławiona przez rzeźbiarzy starożytnych piękność plastyczna da się uzupełniać i poprawiać, może dojść nawet do doskonałości przez stosowanie „masażu estetycznego.” Powiększenie oczu, blask spojrzenia, uszlachetnienie konturów twarzy, linii nosa, kształtu policzków, ogólne wzmocnienie mięśni — oto, co obiecują te zabiegi.

II. Piękność cery. Świeża karnacja, kolory młodości i zdrowia, owa „uroda wiochony,” psuje się, niestety, najłatwiej i najprędzej. Aby zachować młodą cerę, trzeba oddziaływać na prawidłowe krążenie krwi i dbać o stałe odnawianie się komórek skóry i naskórka.

III. Piękność wyrazista czyli piękno duchowej indywidualności. Jest to najwyższy gatunek piękności, najbardziej przyciągający, a także najdłużej trwający i najmniej niosący rozczarowań. Ten wdzięk kobiet, o których się mówi „gorzej niż piękna,” bywa nie tylko darem natury, ale można go osiągnąć i nabyć przez stosowne pielęgnowanie rysów i wyrazu twarzy, i postaci. A więc przez masaż, gimnastykę, kulturę fizjonomji, rytmikę ruchów, udoskonalenie kształtów, przyrządy poprawcze i pielęgnowanie cery.

Na pomoc tym teorjom, paryski „Uniwersytet piękności” wyprodukował przeszło 100 różnych kosmetyków, wód, mlek, balsamów, eliksirów i t. d. i t. d., samych pudrów około 20 odcieni. Dalej przeszło 40 różnych przyrządów dla udoskonalenia kształtów ciała. Wreszcie dyskretne rady, przepisy kuracyjne i wykonywanie najważniejszych starań i zleceń.

Paryżanki podniosły kult swej piękności do rzędu obowiązków kobiecych. Może się to niepodobać moralistom, narzekającym na próżność niewiast i zepsucie obyczajów. Cóż zrobić? Każda epoka ma swoje wyrafinowania, a wiele cywilizacji upadłych i starożytnych znacznie przewyższyły pod tym względem nasz wiek elektryczności i samolotu. Nie zmienia się też poprzez lat tysiące owo odwieczne kobiece pragnienie podobania się i władztwo piękności wiedzie je po tych samych drogach. Malowały się i kąpały w mleku oślic księżniczki egipskie, biblijna Judyta idąc do Holofernesa barwiczką krasila, a nasz polski rymopis XVII wieku straszy warką i smołą piekielną elegantki, co „na wdzięcznej twarzy sprośne muchy lepią.”

Krucha, słaba i przemijająca jest piękność kobieca. Równie krucha i iluzoryczna, jak miłość i szczęście. Ale nic dotychczas pod słońcem nie wymyślono, co mogłoby kobiecie zastąpić te dary życia. Póki miłością rządzi piękność — pojęta jaknajszerszej, zresztą, zarówno fizyczna jak duchowa — nie dziwnym się kobietom, że chcą być piękne. A nawet, że nie mogąc osiągnąć ideału, pragną chociaż ludzi siebie i drugich pozorami piękności...

Paryż, w listopadzie.

Ypsylonka

NAKRYCIE

Jednym z ważniejszych czynników przy każdym posiłku jest nakrycie.

Nakrycie — tylko staranne i czyste, czy też wykwintne i elegancko-strojne, to już zależy ściśle od stopy, na jakiej dom jest postawiony, od jego zamożności, zabytków, a wreszcie od potrzeb tych, którzy dookoła danego stołu zasiadają i od ich gustu. Widzimy nieraz w pięknie wydawanych pismach zagranicznych fotografie wnętrza „gwiazd” i „gwiazdek”, pokazują nam, jak „gwiazdy” śpią, jak się ubierają w domu, na bale, space-

nakryty taką serwetą jest żywy, miły dla oka i łatwiej się bez ozdobnego nakrycia obejdzie. Jeżeli dorobimy serwetki z białego płótna mereżkowanego i składając każdą misternie; rzucimy na nią odpowiedni deseniom kwiatek n. p. mały pęczek fiołków, polną różyczkę, gwoździak — nakrycie będzie estetyczne i eleganckie. Do śniadań i podwieczorków wielką ozdobą są wszelkie garnuszki do śmietanki, koszyczki do ciast i pieczywa, nakryte ręcznie haftowanymi serwetkami, barwne talerzyki i filiżanki, które same przez się wypełniają stół i cieszą oko barwą swą i kształtem — trudniej jest bez kosztownych dodatków, jako to srebra, kryształy, kosze do owoców etc, nakryć pięknie stół do obiadu, lub kolacji.

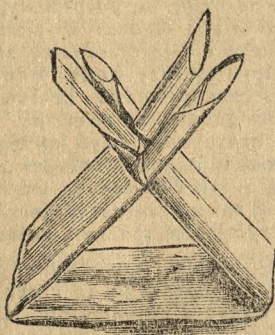
Jeżeli chcemy, kierowane wiecznym głodem piękna, stworzyć z niczego — coś, co nam się w powojennych czasach tak często zdarza—dzielnym sojusznikiem, przy nakrywaniu stołu, jest serweta. Serweta, misternie i zręcznie złożona, ładnie wypełnia i zdobi stół. Jest to specjalna sztuka, której nasza przeciętna służba nie posiada — podajemy więc tutaj ku użytkowi Czytelniczek, kilka wzorów i sposobów przestudjowawszy, które, łatwo posiadać tę sztukę.

Więc rys. 1; przedstawia serwetę, złożoną w misterne rurki. Aby ją tak ułożyć, należy złożyć serwetę na pół, ale w taki sposób, aby brzegi spotykały się ze sobą na środku serwety. Pojedyncze brzegi od środka, ku linii złożenia zagiąć na skos i tak ułożoną serwetę związać w rurkę z dwóch stron ku środkowi (sposób składania wskazuje rys 1a) Po zwinieniu ustawić jak na rys. 1.—W środek

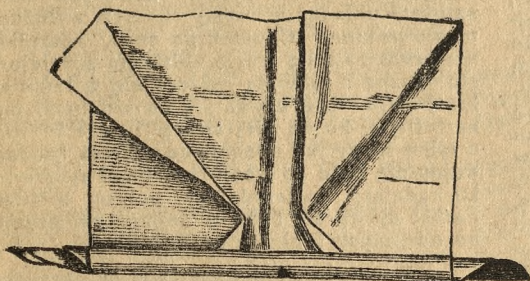
ga się wszystkie cztery końce i ustawia je w formie liści. Serwety, które się ma sztucznie układać, muszą być koniecznie sztywne, to znaczy przykrochmalone w praniu.

Drugim czynnikiem, który bezwzględnie pierwszą gra w zewnętrznym wyglądzie stołu, rolę, są — kwiaty. Niekoniecznie kosztowne i wspaniałe, niekoniecznie wonne, ciepłarniane, lub pieszczotą południowego słońca w cudowne barwy i kształty zakłętę; na śnieżnej bieli obrusa wystarczy liść jesienny sumaka szkarłat i złoto dzikiego wina, zimą gałązka

1



1a



ry, wycieczki do sportu letniego i zimowego no i wreszcie jak — jedzą.

Jedzą przeważnie ślicznie, przy ślicznie nakrytych stołach, strojnych w kwiaty i kryształy, ale o tem wiemy, już zdawna, że każda „gwiazda” wszystko robi ślicznie i jest w każdym momencie życia godna podziwu — największa jej siła, to właśnie ta moc sugestji i narzucenia swego uroku! I my jednak, z których zaledwie nielicznym los promienicować zezwala, możemy pozazdrościć uprzywilejowanym i w naszym skromnym najczęściej życiu otoczonym estetycznym staraniem nakrycie naszego stołu, nadając mu swoisty wdzięk i piętno kultury.

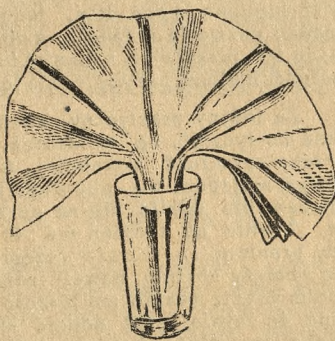
Pierwszym i najważniejszym czynnikiem jest bielizna. Bielizna świeża, odpowiednio uprana, starannie, po każdym posiłku, w dawne składy złożona, odświeżona [gorącym żelazem, w domu gdzie niema [dzieci] może służyć tydzień, nie rażąc niczyjego oka i poczucia estetyki, szczególnie, że do śniadania i poobiedniej herbaty nakrywamy zwykle innymi, a do mięsnych posiłków innymi obrusami.

Pojawiły się, od jakiegoś czasu w handlu serwety specjalnie śniadaniowo-podwieczorkowe, z białej, groszkowanej tkaniny, usiane kwiatami, niektóre z nich są nadzwyczaj gustowne i prawdziwie ładne, przytem porożą się świetnie i nawet przy najforsowniejsem gotowaniu nie tracą żywych barw. — Stół

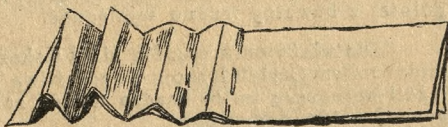
można włożyć kawałek ładnie [ukrajanego] chleba, lub bułeczkę.

Na rys. 2 widzimy serwetę, złożoną w wachlarz. Składa się ją na trzy części i układa w harmonijkę, mocno zagniatą (rys. 2a) włożona w szklanę robi naprawdę wrażenie wachlarza.

Można też złożyć serwetę jak na rys. 3. Składa ją się na cztery części w kwadrat—potem na skos tak, aby pojedyncze brzegi były na wierzchu. Końce skosu zakłada się na wierzch do połowy (rys. 3a) i podwija się pod spód. Ustawwszy tak złożoną serwetę wycią-

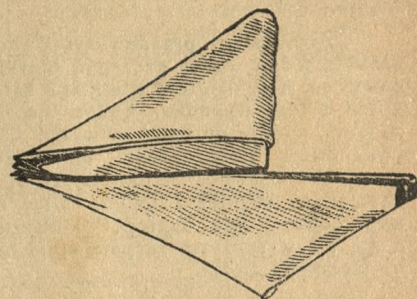


2

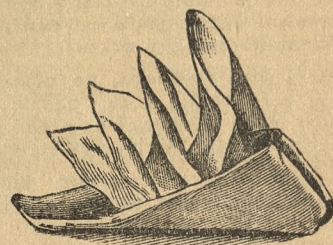


2a

3a



3a



srebrnego świerka, wiosną złoto kaczeńców, no a latem cała gama barw i królestwo naszych polnych i ogrodowych kwiatów.

Jest jeszcze bardzo ważna umiejętność w nakrywaniu i przystrajaniu stołu, a to pamięć o tem, aby stół nie opustoszył się w czasie trwania posiłku, a więc żeby usunięte salaterki z sałatami, kompotami etc. nie tworzyły luk niezapelnionych, które przed skończeniem posiłku i wstaniem od stołu nadają mu brzydki wygląd nieestetycznego pobojo-wiska i dlatego też najlepiej, ubierając stół kwiatami, robić wianki, kokardy etc. dookoła przedmiotów, które na stole do końca pozostać mają.—

Jeżeli mówimy o nakryciu wogóle, przypomnieć muszę o chlebie, który pokrojony na zgrabne, cienkie kawałki wsuwa się w serwety i o wołku, jaki nieodzownie pod obrus podścielać trzeba, aby talerze i półmiski jak najciszej stawiać się dały. Nadmienić tu jeszcze muszę, że stół bardzo strojny odpowiada wieczorowym, proszonym obiadom i kolacjom — wszelkie drugie śniadania, lub t. zw. „dejeuner dinatoire”, obiad dzienny zastępujące, nie wymagają tak bardzo błyskotliwego nakrycia, które chodzi zwykle w parze z wieczorowymi toaletami biesiadników. — Wspomnianym powyżej posiłkom, dziennym wystarczy więc kwiatów w ładnym wazonie i klosz, lub koszyk z pięknymi ułożonymi owocami.

LIST Z PARYŻA

Zima-mróż, Mróż tęgi bierze i srebrnym szronem okrywa drzewa i skwery. — Zimno przenika nas nawskroś w lekkich okryciach, a w domu na spodzie kufków i waliz spoczywają jeszcze spokojnie cenne futra i ciepłe wełny.

Czas nagli: dobrzeby było wyjąć z ukrycia te skarby i zarzucić na ramiona płaszcz futrzany — cel najskrytszych dążeń na zimowy sezon.

Nie sądz, łaskawa czytelniczko, że mamy na myśli zwykły wulgarny płaszcz z imitacji lutrów, ale ten miękki, jedwabisty, rasowy z kretów, nucków lub soboli.

W tej dziedzinie, tak samo, jak w zakresie sukien i palt, panuje Moda ze wszelkimi jej kaprysami: zmiana linii, zmiana materji, finezja wykończenia i t. d. Wszystko tu uchodzi, każda fantazja jest dozwolona, tempo kreacji się wzmagają, gorączka wydatków trwa ciągle.

Zaznaczmy przedewszystkiem w tej sprawie jeden ważny szczegół: płaszcz z futra powinien być dziełem wielkiego salonu mód. Tylko w tym wypadku, będąc na wysokości zadania, nadaje on całej sylwetce upragnioną wymukłość i szczupłość, do której wciąż z zapalem dążymy. Natomiast zrobiony przez specjalistę kuśnierza (będzie tylko dokładnie wypracowany pod względem kunsztu futrzanego, ale w ogólnym zarysie musi być z grubą ciosany i ciężki).

Każdy wielki salon mód w Paryżu posiada oddział futer, gdzie skoncentrowane siły metrow tworzą arcydzieła: tu sztuka kuśnierska podaje dłoń przyjazną wybujałej fantazji rysownika, tworząc z wytrawnym krojczym wymarzony harmonijny zespół.

Cóż więc dziwnego, że płaszcz wypieszczony przez takie ręce, będzie się sam miękko i lekko drapował na ciele, podnosząc niezwykle wdzięki swojej właścicielki.

Tego roku więcej, niż kiedykolwiek będziesz Czytelniczko, wystawioną na ognistą próbę.

Zrażona i zmęczona wiecznym przerabianiem starych lutrów, zobaczysz coś nowego, co oko frapuje i wabi, co godne prawdziwu i uwagi.

Ponieważ kombinacji jest bez liku, należy zastanowić się poważnie przed zrobieniem wyboru. Wielcy twórcy nowych kreacji nie zadawalniają się już układaniem futra w równoległe wąskie pasy — potrzeba im dziś czegoś bardziej oryginalnego, co jest poza zwykłym szablonem — to też inne geometryczne formy zajęły miejsce prostoliniowych kreacji: widzimy stąd futra w kwadraty, prostokąty, trójkąty i koła. Inne znów w falujące się z lekka pasy i nareszcie kombinacje mieszane z dwóch futer w różnych kolorach: brązowy z czarnym, szary z czarnym, jedyny w swoim rodzaju ensamble z lutrów i szenszylki albo popielicy i karakułów. Królewskie te kreacje są prawdziwą ucztą dla oka i muszą zadowolnić najbardziej wyrafinowane wymagania. Na użytek popołudniowy najczęściej są noszone palta proste z rękawami z nurków, albo kretów. Cała fantazja może polegać na lekkim kłoszu w dole z przodu, który powinien być krótszy niż tył.

Kołnierz z prostego kawała futra marszczony na wyłogach, daje formę wysoką, pod którą ginie prawie mały kapelusik i która jest bezprzecnie wyrazem elegancji.

Wieczorem na bal, do teatru, na koncert, paryżanka, mająca pretensję do szyku, okrywa się najchętniej wielką, prostą futrzaną peleryną z olbrzymim kołnierzem, z którego z wdziękiem, czysto paryskim, zaledwie wygląda mała główka.

Peleryny te nie mają już dziś, jak przed kilku laty, karczka, ani nie są też, jak dawniej skomplikowane w kroju. — To są poprostu kolosalne kwadraty z futra, po mistrzowski wypracowane i marszczone u szyi — Nie-

ma też żadnego otworu dla ręki, i tylko od wdzięku właścicielki zależy, żeby peleryna pięknie się sama udrapowała na wieczorowej sukni, która w kolorze często odpowiada podszewce okrycia dla podniesienia ogólnej harmonji.

Królewskie i niepokalane gronostaje, płowe, przepyszne popielice bogate i miękkie sobole, wreszcie piękne szenszyle stanowią niewyczerpane skarby, w których zbytek paryski znajduje swój właściwy wyraz.

Ale co niestety zatruwa nasz zachwyt to kwestja ceny. Każda peleryna to mała fortuna.

Lecz i na to znajdzie się rada. Trochę intuicji i sprawa załatwiona. I oto sprytna pani wybiera piękne imitacje, które zmylą nawet czujność najbliższych przyjaciółek. Z pozostałych pieniędzy kupuje sobie śliczną sukienkę, o której dawno marzyła, nieporównany woreczek i pantofelki z lamy.

Czyż nie jesteśmy w Paryżu, gdzie piękność i kokieteryja panują na całej linii, w Paryżu, gdzie nic nie jest za drogą, nic za trudne — wszystko dostępne, wszystko doścignione, wszystko możliwe. Sekwa.

O NASZYM DOMU

PRANIE

Najprzykrejszym dniem w domu (za normę biorę dom średniej zamożności) jest dzień wielkiego prania. Całe szczęście, że tak jak wiele zwyczajów dawniej niezbędnych tak i ten przechodzi już do wspomnień. Nowe warunki, życia, coraz cięższe zdobywanie coraz mniejszych środków utrzymania zmuszają nas do szukania nowych sposobów w załatwianiu tych niezbędniejszych czynności i potrzeb życia. Dawniej takie „wielkie pranie“ urządzone raz na dwa, lub trzy miesiące, pociągało za sobą przewrót, przynajmniej na kilka dni w życiu codziennem. Dziś mało kto ma zapasy bielizny, wystarczające na tak długi czas, przytem w domu gdzie wszyscy pracują trudno jest wykołęb się na czas jakiś. Potrzeba zatem, ta matka wynalazków, nauczyła nas oddawać bieliznę poza dom, jednakże w tym wypadku nazwę ją macochą, a nie matką, gdyż sposób ten, jakkolwiek najmniej kłopotliwy, dla trwałości bielizny bezwzględnie jest najgorszy.

Za jedyny praktyczny zwyczaj uważam pranie co tydzień, np. co wtorek. Po niedzieli trzeba sprzątnąć starannie, trzeba i przygotować niejedno, tak, aby dodatkowa robota w niczem nie odbiła się na porządku domowym. Pranie co tydzień ma to dobre, że nigdy praniem, a zawsze przepierką będzie i nie obciąża zbyt wiele jednej służącej, przytem częste pranie ma jeszcze tę dodatnią stronę, że łatwiej jest doprac krótko leżącą bieliznę im dłużej bowiem leży posmolona, tem więcej wgrzyza się w nią brud, który szczególniej z bawelny trudno wyciągnąć.

Dla ułatwienia udzielię kilku wskazówek moim miłym Czytelniczkom i szczęśliwą będę, jeżeli uproszczę im to bardzo trudne zadanie gospodarstwa domowego.

W poniedziałek wieczór trzeba sprzątnąć pokoje, w których się nie sypia, kupić wszystko co do prania potrzebne i przynieść balję z piwnicy, aby z samego rana we wtorek zabrać się do roboty. Produkty kupić w poniedziałek od razu (na dwa dni, aby nie tracić próżno czasu na chodzenie „na miasto“). Można nawet, gotując w poniedziałek, ugotować smak na zupełną dwa razy, co bardzo uproszczy przygotowanie obiadu. Z praniem, czy małym, czy dużym, należy zawsze postępować tak, aby bielizna jednakowo starannie wyprana była. Pracę się powinno w wodzie miękkiej o którą w mieście łatwo, bo taką jest woda z wodociągu. Na wsi należy używać wody deszczowej, lub ze śniegu. Zaczyna się pranie od najdelikatniejszych i najczystszych sztuk nacierając starannie plamy mydłem. Wyciera

się ją w ciepłej wodzie dopóki nie znikną plamy. powtarza się tę czynność mydlenia i wycierania, dopóki bielizna zupełnie czystą nie zostanie. Wtedy płócce się ją starannie z brudnych mydlin i zaparza na balji wodą gorącą z rozgotowanym mydłem, lub proszkiem mydłym do prania. Sody nie używa się pod żadnym pozorem, od sody bowiem bielizna żółknie. (Żółknie specjalnie bielizna perkalowa, więc aby tego uniknąć, dobrze jest użyć do ostatniego jej płukania 1 łyżeczkę terpentyny francuskiej na 20 litrów wody.) Skoro przestygnie woda, tak że swobodnie można w niej ręce utrzymać, wypiera się każdą sztukę z zaparzenia, uważając, czy zupełnie już nie ma plam, które trzeba jeszcze namydlać. Tak wypraną bieliznę układa się w czysty kocioł, pamiętając, aby miał na dnie tak zwany pływak. Bielizna nie może dotykać bezpośrednio dna kotła, przypali się bowiem na pewno. Zalewa się ją wodą z proszkiem mydłym, przesypuje kawałkami cienko struganego mydła i gotuje, uważając żeby wody było ciągle dosyć. Skoro bielizna już wygotowana, wyrzuca się ją na balję, a po przestygnięciu wypiera z gotowania i kładzie w zimną wodę, w której płócce się ją starannie, zmieniając przynajmniej trzy razy wodę. W ostatniej, zupełnie już czystej wodzie zostawia się bieliznę na kilka godzin, a nawet na całą noc, o ile niema czasu wykończyć jej tego samego dnia. Nie trzeba jednak kłaść jej do wody w inne naczynie jak drewniane. Od wanny blaszanej bielizna zawsze zardzewieje; nie należy także namoczyć białej razem z kolorami.

Po wyjęciu z wody bieliznę się wyżyma. Sztuki, przeznaczone do krochmalenia, płucze się w farbcie z krochmałem, inne w samej farbcie. Pamiętać należy, aby w farbce nie kłaść więcej jak po parę sztuk na raz, bo zaciekną. Wyjmując, dobrze wyżyć, roztrześć każdą sztukę i układać w czysty koszyk, wyłożony magłownikiem. Chustek do nosa, ręczników nie krochmalą się wcale, bieliznę pościelową, stołową i osobistą płucze się w leciutkim krochmalu. Nie używa się na krochmal maki kartoflanej bo od niej sinieje i pęka bielizna, a tylko łatwy już obecnie do nabycia (podczas wojny nie było go wcale) krochmal ryżowy, jako nadający najładniejszy połysk bielinie. Farbki używa się tylko w najlepszym gatunku, bo od innych bielizna dostaje plam.

Po wypłukaniu wszystkiej bielizny przystępuje się do suszenia jej. Za granicą suszą bieliznę tylko na podwórzach. Do tego stopnia jest to w zwyczaju, że wmurowane są od razu w ściany domów laki do przeciągania sznurów. We wszystkich miastach i miasteczkach Wielkopolski to samo jest w zwyczaju. U nas niestety byłoby to niemożliwe, więc suszy się na górach, a i to nie zawsze jest bezpieczne. Jeśli pranie jest bardzo małe i niema w niem dużych sztuk, można nieraz przesuszyć bieliznę przez noc w łazience, lub nawet w jednym z pokoi, gdzie nikt nie sypia.

Aby przyspieszyć schnięcie bielizny należy ją wieszac w następujący sposób: sznurzy trzeba rozciągnąć w odległości od siebie na szerokość sztuk, które mają być wieszane i kłamiarami drewnianymi, umyślnie do tego przeznaczonymi (widełki drewniane) przypomnieć do sznurów dwa końce prześcieradła, rącznika i t. d. Tak rozwieszona bielizna wyschnie w ciągu paru godzin.

Składając bieliznę do magła, należy uważać aby guziki były w środku, bo się łatwo wyrwać, lub zgnieść mogą. Guziki z perłowej masy należy zawsze odpruć przed praniem.

Po starannem zmaglowaniu bielizny i rozebraniu jej gatunkami następuje prasowanie.

Ręczniki, prześcieradła, złożonywszy je odpowiednio prasuje się tylko po wierzchu, stołową, poszewki i bieliznę osobistą trzeba prasować całkowicie. Damska bielizna, o ile jest batystowa i ozdobna nie powinna wcale być maglowana, lecz nie dosuszona i prasowana na wilgotno, wtedy hafty dają się najładniej wycisnąć i najstaranniej uprasować.

O praniu kolorów, wełny, jedwabiu i koronek, a także o wywabianiu plam pomówimy innym razem. J. S.

K O R E S P O N D E N C J E

Moda obecna jest ładna... ale nie dla wszystkich. Szczęśliwe panie, obdarzone od natury smukłą, dziewczęcą (powiedzmy nawet chłopięcą!) figurką, o linjach giętkich a wydłużonych, wyglądają prześlicznie w modnych „fourreaux”, prostych, wąskich, i opiętych. Ale cóż powiedzieć o tych, które ta natura obdarzyła zbyt obficie? A przecież takich pomimo „kuracji odtłuszczających”, pomimo różnych „gorsetów poszczuplających” i „pasów wibracyjnych”—jest jeszcze dużo, bardzo dużo...

Jedna z takich „nieobchudzonych” Czytelniczek „Bluszczu” zwróciła się do mnie z listowną prośbą, abym jej wskazała sposób, w jaki można pogodzić wymagania obecnej mody z figurą osoby, która już przekroczyła wiek podlotka i której kształty zbliżają się raczej do normalnego typu kobiety dojrzalej, w pełni rozwiniętej, do typu powiedzmy renesansowego.

Ponieważ pytanie to powtórzyłyby mogło zapewne i wiele jeszcze innych moich Czytelniczek, postanowiłam przeto im wszystkim razem odpowiedzieć, podając parę praktycznych wskazówek — jak się powinna ubierać osoba w średnim wieku, niezbyt szczupła, a jednak pragnąca utrzymać się w linjach zakreślonych przez dzisiejszą modę.

Pierwszą i najważniejszą zasadą — o której nigdy zapomnieć nie wolno — jest: unikać obcisłych i opiętych fasonów. Moda wymaga od nas i dyńnie linji prostej, i tę też linję trzeba się starać osiągnąć za wszelką cenę, żadną zaś miarą nie sprzyja temu zbyt obcisłe drapowanie materiału na figurze, której zaokrąglone linje występują wtedy jeszcze wyraźniej.

Są dwa zasadnicze typy figur tegich: jedno, rozwinięte równomiernie, o szerokich ramionach i pełnym biuście, drugie (i do tych należą przeważnie osoby o niższym wzroście) są stosunkowo szczuplejsze w ramionach, niż w biodrach. Ten ostatni typ figury należy do najtrudniejszych pod względem doboru odpowiedniego obecnej modzie fasonu. Tutaj bowiem osiągnąć linję prostą nie jest bynajmniej łatwo.

Najodpowiedniejszym fasonem sukni dla osób tegich, są tak modne dzisiaj „robes manteaux” o linjach prostych, lecz nie obcisłych o staniku przedłużonym jedynie do linji bioder i łączącym się w tem miejscu ze spódniczką, skrajaną cokolwiek szerzej, bądź z ręcznie udrapowaną z jednego boku, jak na rys. Nr 1, bądź przybraną jak na rys. Nr 2 i t. d.

Spódniczek zupełnie wąskich, jak już podkreślałam wyżej, należy unikać, nie awantażowne są również dla osób tęższych, szczególnie niższego wzrostu, suknie krajane w całości (t. zw. „koszulki”) bez przecięcia na biodrach.

Podkreślam szczegół bardzo ważny. Stan musi być na samej linji bioder — nigdy poniżej. Zbytek przedłużanie stanu odbija się jaknajfatalniej na całości wyglądu i tworzy linję poprostu okropną.



Rys. 1.

Rys. 3.

Rys. 2.

Osobom tegim w biuście najlepiej odpowiada stanik skrzyżowany na piersiach, im niżej tem lepiej. Doskonałym wzorem dla tego typu figury jest rysunek Nr 1.

Kwestja doboru materiałów jest również rzeczą ważną. Należy unikać wszelkiego rodzaju tkanin fantazyjnych, w duże desenie, kraty i t. d. Gładka wełna, jedwab, szczególnie z gatunku t. zw. „ottoman”) lub aksamit w kolorach ciemniejszych, są najodpowiedniejszymi materiałami dla osób, które chcą wyglądać szczupło, szczególnie gabardyny, lekkie sukna, rypsy, a nadeszłyście bostony granatowe, są wymarzone dla pań, chcących zachować pomimo tuszy linje klasycznie proste.

A teraz przejdźmy do kwestji przybrań. Zasadą kardynalną jest: unikać wszelkiego przeładowania, wszystkiego co wychodzi poza ramy stylu ściśle angielskiego—taki tylko bowiem jest odpowiednim dla osób tęższych. Zadnych falban, nawet tych zupełnie płasko położonych, jakie wprowadza dzisiejsza moda! Za to można urozmaicić cokolwiek zbyt surowy styl sukien, albo tak modnym obecnie, długim fartuszkim z przodu, lub też dwoma wąskimi na bokach, jak na rys. Nr 2. Przybrania te powinny zawsze być dość długie, to znaczy sięgające aż do samego dołu sukni, tak aby linję wyszczuplać, nie zaś poszerzać, coby miało miejsce, gdyby były krótsze i odstające.

Rysunek Nr 3 przedstawia model sukni wieczorowej, lub strojnej wizytowej, skomponowany w linjach prostych, a jednak odpowiedni najzupełniej dla osób tegich. Suknia ta wykonana z tak modnych obecnie cięższych gatunków jedwabiu: crepe marocain, ottoman, atlasu double-face, lub z miękkiego veloure chiffon, w najmodniejszym kolorze tego sezonu—czarnym—wygląda bardzo elegancko, a zarazem skromnie. Zwracam specjalną uwagę moich Czytelniczek na kilka szczegółów, obliczonych na ręczne zamaskowanie zbyt obfitych kształtów. A więc długie wycięcie z przodu służy nietylko do ożywienia czarnego koloru sukni przez dodanie kamizelki z lekkiej crepe georgette w tonie cielistym — lecz i do wyszczuplenia linji biustu. Szerokość bioder zmniejsza kilka zręcznych fałdek i pukli na boku, a przybranie z ciężkiej frędzli jedwabnej, czyniąc suknię strojnieszą, obciąża materiał i dopomaga do utrzymania linji idealnie prostej.

Na zakończenie kilka uwag natury ogólnej. Każda kobieta musi ubierać się zgodnie ze swym typem. Osoba zatem o kształtach okazalszych nie powinna nigdy starać się osiągnąć typu płochego podlotka, o modnie obciętych włoskach i sukienkach krótkich, a obcisłych. Strój jej powinien być we wszystkich szych szczegółach tak obmyślany, aby nadać jej pewną powagę i dostojność odpowiednią do jej wieku i figury. A więc powtarzam: linje proste, fasony klasyczne „genre tailleur”, kolory ciemne, materiały gładkie i w jaknajlepszym gatunku. Bardziej niż cokolwiek inny, osoba tęższa powinna trzymać się zasady, że „jakość dominuje nad ilością”. Zasady te należy zastosować do wszystkich bez wyjątku szczegółów toalety — a wtedy problemat modnego i jednocześnie estetycznego ubrania dla pań tęższych zostanie rozwiązany zupełnie pomyślnie. R.

W S K A Z Ó W K I P R A K T Y C Z N E

KAPUSTA WŁOSKA POD BÉCHAMELEM.

Spórą główkę kapusty włoskiej ugotować w całości w osolonym wrzątku, odcedzić na sicie, ostudzić, pokrajać jak pomarańczę na zgrabne kawałki, ułożyć na metalowym półmisku wysmarowanym masłem. Trzy szklanki dobrego mleka lub nietłustej śmietanki zagotować z sutą łyżką masła, zaprawić pół szklanką mąki rozbitej w czwartej szklance mleka, gotować, wciąż mieszając, aż zgęstnieje, przestudzić, wbić w to dwa żółtka i włożyć łyżkę tartego parmezanu lub innego ostrego sera. Pokryć tym sosem kapustę: osypać serem, bułeczką tartą, położyć na wierzchu parę kawałeczków masła, — wstawić w gorący piec dla zrumienienia. Podawać natychmiast po wyjęciu z pieca na tym samym półmisku.

MACÉDOINE Z JABŁEK Z ANANASEM.

Pół kilo soczystych, kwaskowatych jabłek, najlepiej antonówek lub renetów, obrać, oczyścić ze środków, pokrajać w ćwiartki i uszatkować jaknajcieniej. Cwierć funta—sto gramów ananasa obranego z łupiny, (ananasy obecnie we wszystkich większych sklepach kolonjanych sprzedają w części krajane), poszatkować równie cienko, ułożyć wraz z jabłkami na głębokiej salaterce kryształo-

wej przesypując funtem (400 gramów) cukru, (kryształ) co parę godzin mieszać łyżką aby się cukier dokładnie rozpuścił. Przed podaniem polać dużym kieliszkiem likieru ananassowego lub maraskina. Przyrządzać na godz. 10—12 przed podaniem.

PRAWDZIWI ANGIELSKI „PLUM—PUDDING”.

Potrawa ta, którą każdy Anglik, w czasie świąt Bożego Narodzenia codziennie się raczy, ma tę zaletę, że raz ugotowana kilka tygodni na chłodzie stać może, — w Anglii posyłają także plum—puddingi krewnym i znajomym nieraz w dalekich kolonjach na drugiej półkuli zamieszkałym. Odgrzewa się całość lub część puddingu w formie, na parze, polewa szodonowym sosem, lub rumem, zapala i taki płonący podaje na stół. Jak dalece Angliki szanują tradycję przy przyrządzaniu tego narodowego przysmaku niech miarą będzie to, że przepis dany moim rodzicom przez Angielkę w czasach, kiedy byłam małą dziewczynką, i przepis dany mnie w dwadzieścia kilka lat później przez Angielkę mojej córki są zupełnie identyczne. Tak więc zbiorowy przepis dwóch pokoleń Angielek, dziesiątki razy wypróbowany tu podaje: Funt łożu nerkowego, wołowego, najdrobniej usiekanego, funt bułki białej tartej, funt cukru tłuczonego

(rafinady) 8 jaj całych, pół funta koryntek funt rodzenek sultañskich, pół funta cykaty ze skórek pomarańczowych, pół funta jabłek, renet, obranych i drobno pokrajanych, pół funta słodkich i 10 sztuk gorzkich migdałów, obranych z łupinek i utłuczonych, skórki z cytryny otarte na tarce, pół łyżeczki kwiatu lub gałki muszkatołowej utłuczonej drobno, łyżeczkę od herbaty soli, szklankę dobrego araku lub rumu. Wszystko to razem wyrabia się na pulchną masę, przyczem w razie gdyby była masa zbyt sucha dodaje się rumu lub araku. Czystą serwetę wygotować we wrzątku i splukać kilka razy, aby nie pozostało w niej zapachu mydła z prania, wkłada się w nią masę uformowaną w olbrzymią kulę zawiązuje niezbyt mocno, aby masa miała gdzie nabrzęknąć. Na dużym rondlu z lekko osolonym wrzątkiem, kładzie się w poprzek gruby kij, do niego przywiązuje pudding tak, aby cały był w wodzie pogrążony, i gotuje na silnym ogniu 3 do 4 godzin, podlewając wrzątkiem w miarę jak się ten wygotowuje. Można go podać zaraz po ugotowaniu z szodonowym sosem, lub polany rumem i zapalony, lub też odgrzewać częściowo i podawać w taki sam sposób. Porcji tej starczy na 18 osób, lub na trzy obiady dla 6 osób. Jest to wyborna, choć może nieco ciężka potrawa, którą radzę wszystkim gospodyniom wypróbować. Pani Elżbieta

OPIS SUKIEN I ROBÓT DO Nr. 51 i 52.

717. Suknia wieczorowa z czarnej tafy, przybrana koronką, lub galonem i riuszą z tafy.

718. Strojna suknia z różowego jedwabiu, przybrana popielatym futrem, lub marabutami. Kołnier z srebrnej koronki.

719. Strojna suknia z czarnego aksamitu, przybrana złotą brokatela.

720. Suknia z granatowej gabardiny. Kołnier w formie chusteczki z fularu deseniowego. Forma na tablicy kroju.

721. Suknia z brązowego sukienka. Naszywie i kamizelka piaskowego koloru. Pasek lakierowany.

722. Suknia z popielatej wełny, obszyta siwym barankiem, lub angora. Wyszycie z wąziutkiej plecionki. Forma na tablicy kroju.

723. Suknia z fiołkowej wełny. Pasek i krawat z materji przerabianej fiołkowej ze srebrem. Forma na tablicy kroju.

724. Kapelusz z czarnego aksamitu, przybrany kokardą z grubej rypsowej wstążki.

725. Palto sportowe z włochatej wełny. Naszywie z ciemniejszego sukna.

726. Palto kłozowe z ciepłego materiału double face.

727. Kostjum z peleryną do sportów zimowych. Spódnica i przybranie z wełny w kratę. Kaftanik i peleryna z grubej miękkiej wełny w jednym kolorze.

728. Kostjum do sportów zimowych z włochatego trykotu w dwóch kolorach.

729. Sukienka dla dziewczynki od lat 10 do 13 z granatowej gabardiny, przód z popielatego sukienka, naszywany granatową plecionką.

730. Bluzka z sukienka ceglatego koloru, przybrana haftem, lub aplikacją w kolorach: czarnym i miedzianym. Forma na tablicy kroju.

731. Sukienka dla dziewczynki od lat 11 do 14 z brązowej wełny, przybrana piaskowym sukmem.

732. Sukienka dla dziewczynki od lat 6 do 10 z ponsowej flanelki, przybrana czarnymi guziczkami i czarną aksamitką.

733. Bluzka z crepe marocain, lub lekkiej wełny koloru kreciego, wykończona futrem. Forma na tablicy kroju.

734. Ubranko dla chłopczyka od lat 6 do 8 z granatowego szewiotu. Kołnierzyk z białej piki.

735. Wzór na tackę — haft kolorowy. Motyw łowicki. Wielkość naturalna.

636. Wzór na saszet — haft angielski — wielkość naturalna.

737. Wzór na saszet — haft richelieu — wielkość naturalna.

UWAGA: Powiększone wzory robót umieszczonych w Dodatku Mód można nabywać w Administracji „Bluszczu” po cenach następujących: obrus — makata — ekran zł. 2.50; poduszka — serwetka zł. 1.50; drobne desenie gr. 75.

Kroje modeli umieszczonych w Dodatku Mód dostarczamy w ciągu trzech dni po cenach następujących:

palto lub suknia fantazyjna . zł. 3.50
suknia zwyczajna „ 2.50
bluzka „ 2.00
formy dziecinne „ 2.00
bielizna „ 1.50

Przy zamawianiu trzeba wymienić wielkość (I, II, III lub IV) podług załączonej tabelki miar.

Korespondencję, dotyczącą mód i robót, należy kierować oddzielnie do Redakcji dodatku mód. Zamówień nie należy skuteczniczać na blankietach czekowych P. K. O.

TABELKA przeciętnych miar

Wielkość	obwód piersi	pas	obwód bioder	dług. pleców	dług. spódnicy
I	84	64	96	34	75
II	96	68	105	37	85
III	102	72	110	39	95
IV	114	85	120	40	100

W załączonej tablicy krojów podajemy modele trzech zwyczajnych sukien i dwóch bluzek, łatwych do zrobienia w domu. Oprócz tego dołączamy na żądanie wielu Czytelniczek formy korpusów dwóch zwierząt z materiału, do wykonania, jako zabawki dziecinne.

Robi się je w następujący sposób:

Słoń — wysokość 30 ctm. Zeszywa się na lewą stronę przedewszystkiem korpus (№ 38) z górą lba (№ 42) tak, aby miejsca oznaczone na formie temi samymi literami spotykały się — potem w ten sam sposób przyszywa się brzuch (№ 39), a po zeszyciu nog przyszywa się stopę (№ 40). Korpus wypycha się mocno cienkimi wiórkami, lub drobno krajanymi gałgankami. W nogi można włożyć patyczki, żeby były sztywniejsze. Oko robi się z paciorka i haftuje naokoło. Kły mogą być zrobione z białego sukna.

Niedźwiedź — wysokość 18 ctm. Zeszywa się tak samo jak słoń na lewą stronę podług liter, oznaczonych na formie. Łapy przyszywa się mocnym ścięciem na krzyż — pyszczek zaznacza się czerwoną włóczką — nosek czarną. Oczy robi się z paciorków. Uszy wsuwa się w maleńkie rozcięcia i przyszywa wierzchem, palce u łapek zaznacza się czarnymi lub brązowymi ścięgami.

Słoń powinien być zrobiony z sukna popielatego — niedźwiedź z pluszu.

Nadesłane do Redakcji

(Za dział ten Redakcja nie odpowiada).

Z DZIEDZINY KOSMETYKI.

Kobietce: Aby ręczki były zawsze delikatne i białe, radzę stosować „Pâte de prelats,” którym to kremem dobrze natrzeć ręczki zaraz po umyciu, kiedy są jeszcze wilgotne. Ponieważ „Pâte de prelats” wciera się do sucha, można nacierać ręczki parę razy dziennie. Aby utrzymać białość rąk, trzeba wieczorem po natarciu „Pâte de prelats,” grubo przypudrować wybielającym pyłkiem „Juvenia Candida.” Stosując te środki będzie Pani miała ręczki zawsze aksamitno gładkie, delikatne i białe. Zbyteczne włosy usunie Pani momentalnie, stosując „Epil-Max”

Niezdecydowanej. Wszystkie pudry ograniczone są tłuste i zatykają pory, co jest niedobrze. Jako nieszkodliwy polecam Pani puder „Abarid.” Jeżeli Pani lubi, aby puder ściśle przylegał do twarzy i był mało widocznym, można twarz natrzeć goldkremem płynnym „Abaridowym”, który nie jest tłustym wciera się do sucha, i doskonale utrzymuje pudr. *Mm. Erceades.*

Kosmetyki powyższe nabywać można w pierwszorzędnych perfumerjach i drogerjach. Skład główny: Perfumerja „Perfection” Szpitalna 10 w Warszawie.

OD ADMINISTRACJI

Celem uniknięcia zwłoki w wysyłce pisma, prosimy uprzejmie o możliwie rychłe uiszczenie przedpłaty na I-szy kwartał 1925 r. W tym celu dołączamy do niniejszego numeru czek P. K. O. Czek taki można również nabywać w każdym urzędzie pocztowym za cenę 1 gr. Na czeku nabytym należy jednak, przesyłając prenumeratę, wpisać Nr. konta naszego 3700

Ze względu na powiększenie objętości numeru „Bluszczu” o 4 kolumny, jak również stałe dodawanie „Komunikatu Biura Prasowego dla spraw kobiecych” zmuszeni jesteśmy podnieść od Nowego Roku cenę numeru pojedynczego na 1 zł. 40 gr., cenę zaś prenumeraty miesięcznej — na 4 zł. 80 gr.

OGŁOSZENIA

przyjmują prócz administracji „BLUSZCZU”: Tow. Akc. „REKLAMA POLSKA”,
Warszawa, Jasna 10, BIURO OGŁOSZEŃ T. PIETRASZEK — Marszałkowska 115,

OGŁOSZENIA

L. i E. METZL i Sp. — Marszałkowska 130, BIURO DZIENNIKÓW S. UNGRA — Senatorska 12, Polsko-Ameryk. Tow. „NOWA REKLAMA”
Długa 9 i I. BUCHWEITZ — Marszałkowska 107.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ”, Sp. z ogr. odp.

Redaktorka: WANDA PEŁCZYŃSKA.

Dział praktyczny oraz dodatek mód i robót pod redakcją MARJI PODHORSKIEJ — OKOŁÓW.
Redakcja i Administracja: Krak. Przedm. 2. Tel. 239-40.

